Numer 7. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 15 Lutego 1931



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Nie takiej mu trzeba!

Pewien młody, urodziwy i dosyć bogaty kawaler, poszedł w świat, szukać sobie godnej towarzyszki życia, żony.

— W pewnym dworku ujrzał trzy siosty, przecudnej urody.

— Ach, jakeście urodziwe, cudne jak marzenie, a ja właśnie szukam gwiazdy, coby rozjaśniła noc mej samotności.

Wszystkie trzy uśmiechnęły się na to przyjaźnie:

— A co wy umiecie robić, przecudne dziewice? — zapytał je w ciągu dalszej rozmowy.

— Ja umiem grać na takim instrumencie, co się nazywa fortepian — rzekła pierwsza.

— A ja, czarnooki, piękny kawalerze, umiem malować i haftować, jak żywe kwiatki na atłasie — rzekła druga.

— Ja, szlachetny młodzieńcze — rzekła trzecia, umiem robić takie delikatne, cieniuchne koronki, jak siatka pajęcza.

Kawaler posmutniał, wziął kij podróżny do ręki, by odejść.

— Dokąd idziesz? — spytały go prawie jednogłośnie wszystkie trzy cudne dziewice.

— Idę — o piękne — odrzekł — poszukać żony, którąby umiała piec chleb z mąki.



Różnica.

— Powiedzieć coś mężczyźnie, to jednem uchem wejdzie, a drugiem wyjdzie.

— A powiedzieć kobiecie, to obydwoma uszami wejdzie, a wyjdzie ustami!

W ogrodzie zoologicznym.

Beniek: Tate, czy ten mały oszołek to jest synek od te duże osły? Czy uny sobie żenią?

Tate: Tak mój kichanku, tylko osły sobie żenią.

Beniek: Mamuszu! A który z tych osłów jest tate, a który mame?

Mame: Ten wielki oszoł to jest tate.



Dom i szkoła.

Nauczycielka posłała ucznia do domu i dała mu taką kartkę:

„Proszę obmyć chłopca; jest brudny, że aż śmierdzi".

Po niedługim czasie wraca chłopak do szkoły taki sam brudny, jak przedtem i oddaje nauczycielce kartkę z domu następującej treści:

„Niech pani chłopca uczy, a nie wącha".



W szkole.

Nauczyciel mówi uczniom o ruchu ziemi:

— Ziemia kręci się naokoło słońca.

Wstaje mały Jaś:

— A naokoło czego kręci się w nocy, gdy niema słońca?

Różnica między przeciętnym człowiekiem a uczonym na tem polega, że pierwszemu zdaje się, iż wszystko już wie, a drugi chciałby wszystko wiedzieć.

Numer 7. Rok XIV. Kraków, dnia 15 lutego 1931.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Zapusty.

Już w nadchodzącą niedzielę, a właściwie w poniedziałek i wtorek dnia 16 i 17 lutego b. r. przypadają zapusty. Czas to uciech i ostatnich podrygów wesołości, po której następuje czterdziestodniowy post, pełen smutku i utrapienia. Ludzie, jakby się świat miał już skończyć z nastaniem postu, starają się w te dwa dni ostatnie karnawału wyszaleć do sytu i zabawić, jakby już nigdy więcej nie mieli się rozradować, ale być stale pogrążonymi w smutku i utrapieniu. O ile te zabawy odbywają się statecznie, bez nadużywania napojów alkoholowych, bez bijatyk i obrazy Boskiej, nikomu ich za złe brać nie można. Ale gdy się przeradzają w orgje pijackie, po których zwykle następują bijatyki i mordowanie się wzajemne, należy je potępić, jak najsurowiej. A niestety, dawne miłe i spokojne zabawy zapustne mijają bezpowrotnie, a miejsce ich zajmują jakieś orgje potępienia godne, hulatyki, pijatyki, a bardzo często i bijatyki.

Zapusty słynęły w dawnej Polsce z oryginalnych zabaw, jakimi były tak zwane kuligi, urządzane przedewszystkiem przez szlachtę. Oto w ostatnie dni karnawału zajeżdżał sąsiad do sąsiada, a po chwilowym pobycie u niego ruszali obaj do następnego dworku, stamtąd zaś dalej. Czasami kulig taki liczył nawet kilkadziesiąt sań, zaprzężonych w ogniste rumaki, które woziły rozbawione towarzystwo od zaścianku do zaścianku, od dworu do dworu. Wszędzie przyjmowano gości nadzwyczaj ochotnie, wszędzie pobawiono się wesoło i ruszano dalej. Zwykle na pierwszych saniach jechała muzyka, która przygrywała uczestnikom kuligu po drodze, a z następnych sani słychać było wesołe przyśpiewki, radosne okrzyki, woźnice palili zaś z bata, co nadawało kuligowi swoisty wygląd.

Poeta nasz, Wincenty Pol, tak opisuje staropolski kulig:

„...Więc już kulig ogłoszony w całej ziemi bardzo śmiele — I mkną gońce na wsze strony, że krakowskie grzmi wesele. Każdej nocy w innym dworze i sercami wszystkich władną, a więc czekaj ich nieboże, bo nie zgadniesz, kiedy wpadną. I tak dalej — coraz dalej staropolski kulig wali, aż nareszcie mówią matki, że się kończą już ostatki. Tedy drużba, co rej wodzi, z parą swoją już podchodzi i przed panią domu staje, i odprawę wszystkim daje: „Wpadliśwa tu z hukiem, z krzykiem, z weseliskiem a kuligiem, lecz na radość smutek godzi: Środa Wstępna już nadchodzi... — Powiedzcie tam Wstępnej Środzie, niech zaczeka na ogrodzie!!... Ej, gosposiu nasza droga! Proboszcz grozi gniewem Boga, w okna bije dzionek biały, oczka pannom pomalały, więc daj barszczyk na śniadanie, pannom kącik na przespanie, bo pojedziem już do Kielec z żalem serca na Popielec“.

Z uderzeniem godziny dwunastej w nocy z wtorku na środę powinny ustać wszelkie zabawy, gdyż z chwilą tą zaczyna się wielki post, w którym tańce są surowo zakazane. Niestety, tak niemal nigdzie się nie dzieje; rozbawiona młodzież nie patrzy na przepisy religijne, ale przeciąga zabawę nieraz do białego dnia, choć wie, że jest to zabronione. Daje tem zły przykład innym i rozsiewa zgorszenie publiczne. Dlatego też po wsiach wójci, po miastach burmistrzowie, a wszędzie policja powinni stanowczo przeciwko tym nadużyciom występować, a nawet wrazie potrzeby opornych karać. Same zakazy księży nic tu nie zdziałają, gdyż w obecnych czasach, szczególniej młodzież, na zakazy te nie zważa.




Cecora.

Powieść historyczna.

— Nie takie jak ona po dwoje już mają... Brat mój nieboszczyk Supronicz, szesnastoletnią wziął i miał (chwalić Pana Boga) chłopów dwanaścioro, jak dęby...

— Co mię tam waćpanny Supronicz obchodzi!...

— A do Żółkwi waćpan wyjeżdżasz, kiedy dwór z kawalerów opróżniony. W tem coś jest.

— Zajrzyj waćpanna do swojego Sennika — on ci powie! — mruknął pan Symforjan.

— A jabym chciała z waćpanem na serjo pogadać.

— Tu krótka rozmowa między nami. Nieboszczyk Michał Jaszczołd, oddając mi pod opiekę Halszkę, rzekł: Pilnuj ją, jak oka w głowie!... ot co!

— Pamiętam i ja, co mówił nieboszczyk: jeżeli się znajdzie mąż prawy, oddajcie mu Halszkę, lat nawet nie czekając — ot co!

— A gdzież on jest?... w Senniku waćpanny?...

— A jak ma być, gdy waćpan wrota przed gośćmi zamykać każesz?

— Rany Boskie!... co waćpannie się ubrdało?

— Jeżeli wypadkiem jaki młodzieniec zajedzie, to waćpan zaraz mnie do kuchni, a Halszkę do sadu wyprawia.

— Pani siostro, pomówmy uczciwie — rzekł Jasinowski siadając. — Czego waćpanna odemnie chcesz? Nie mniej przecie, jako ty, o Halszkę dbam. Ale to sierota, której nie można pierwszemu lepszemu oddać. Młodzika łatwo waćpanna złapiesz, bo Jagodyńce to fortuna i kapitały są. Ale co potem?... Fiu, fiu w głowie — i basta!... Ja myślę o Halszce, szczerze myślę! Jej potrzeba człowieka statecznego, nie wiercipięty — człowieka... ot tak... w wieku moim...

Panna Małgorzata spojrzała na Jasinowskiego i trząść się zaczęła.

— Czy waćpan czasami o sobie nie myślisz?

Jasinowski obejrzał się szybko, a widząc, że pusto w izbie, rzekł przyciszonym głosem:

— Pani siostro — nie dla śmiechu wspomniałem o tem.

— Jegomościuniu, jegomościuniu! — trzęsła się stara panna. — Co się wam roi, co się roi?

— Nie powiedziałem: ja! jeno: taki jak ja! — prysnął Jasinowski. — Znajdzie się — dobrze!... Waćpanna tylko do Sennika nie zazieraj!...

Panna Małgorzata zaczęła głową kiwać:

— A szwarcowane wąsy! a szwarcowane wąsy!...

Wtem Halszka do izby wbiegła.

— Goście! — krzyknęła.

Żywe fale rumieńców igrały na jej policzkach, oczy świeciły jakby jutrzenki dwie — podbiegła do panny Suproniczówny i szeptała, radośnie w dłoń bijąc:

— Goście, goście, cioteczko!...

Jasinowski pobladł.

Drzwi się otwarły i pachołek wpadł.

— Pan hetman Żółkiewski! — zawołał.

Ruch zrobił się niezwykły. Halszka skoczyła do okna, panna Małgorzata zaczęła trzepaczką stół zmiatać, a Jasinowski wołał:

— Wrota odmykaj — prosić! prosić!...

Ale straż znała hetmana i bez opowiedzenia się go wpuściła.

Zanim Jasinowski do drzwi dopadł, stanął już w nich hetman Żółkiewski, a za nim Kurzański i Plichta. Halszka przypadła do ręki hetmana, który ją serdecznie ucałował w czoło, a pan Symforjan zawołał uradowany:

— Oto mi gość!...

Nagle sposępniał — wzrok jego padł na Plichtę.

— Witajcie, zacni opiekunowie gniazda Jaszczołdów — odezwał się Żółkiewski. — Nie mogłem na Turka pójść, by nie zobaczyć się z wami. W towarzystwie nieodstępnego Kurzańsia i nieznanego wam, a uczciwego kawalera rotmistrza Plichty (tu wskazał ręką) przybywam. Pan Symforjan Jasinowski, panna Małgorzata Suproniczówna i — moja pieszczoszka, Halszka Jaszczołdówna — rzekł — o której siła niedobrych rzeczy nagadałem waćpanu — dodał, zwracając się do rotmistrza.

— Tak niedobrych — rzekł Plichta, rycerski ukłon składając przed Halszką, a wzrokiem ją pożerając — że oskoma mię wzięła poznać waćpannę i służby swoje jej polecić.

Halszka spłoniła się, zmięszała, zrobiła dyg, a Plichta raz jeszcze się skłonił, przyłożywszy dłoń do serca i podszedł do panny Małgorzaty.

— Miło mi poznać w waszmość pannie zacną latorośl domu Suproniczów. Na Litwie ród to znany, a zasłużony wielce Rzeczypospolitej.

— Niemniej w Krakowskiem, Plichtowie — odpowiedziała panna Małgorzata. — Wżdy waść z Krakowskiego pochodzisz?

— Mam tam ojcowiznę, alem oddawna już zagrody rodzinnej nie widział, to w Inflanciech, to na Moskwie wojując. Obecnie z jaśnie wielmożnym hetmanem na Turka idę.

— Oby on cię na sztych wziął!... — mruknął pod nosem Jasinowski i obłapił serdecznie Plichtę, o rodzinie jego sam dalej rzecz ciągnąc.

— W krakowskiem i rawskiem województwie szeroko rozrodzon jest ród Plichtów — nie tak?

— Tak, mości dobrodzieju! — odparł rotmistrz, spozierając ukosem na Halszkę.

— Piękny ród, piękny ród, a zda mi się, że od książąt ruskich pochodzi — nie tak?

— Tak, mości dobrodzieju!

— I w Czechach są Plichtowie — zagadywał pan Symforjan.

— Za czasów Wacławowych przenieśli się do Czech, gdzie byli fundatorami klasztorów mnogich.

— Jakich klasztorów?... — zapytał pospiesznie Jasinowski, widząc, że Plichta znów żórawia posyła.

— Pierwszy tam z Plichtów założył Tejnicki klasztor pod wezwaniem św. Klary, kędy razem z wnukami pochowany jest.

— Jak to miło z wnukami być pochowanym — zawołał Jasinowski. — A drugi?...

— Drugi, Konstanty, kasztelanem sochaczewskim był. Córka jego Kunegunda z Zierotynia, a żona Jarosława Sterberga z Ołomuńca na Morawach, klasztor tejże reguły zbudowała. Trzeci z Plichtów tymże zakonnikom konwent wystawił, a czterech braci miał; z nich: Ziemomysł był Templarjuszem, Hobard i Bolko kawalerami maltańskimi, a Zierotyn katedralnym dziekanem praskim.

— Katedralnym dziekanem!... — szepnął Jasinowski. — Ród, bo ród!

— A skądżeś się waćpan wziął, gdy nam samych zakonników a księży wyliczasz — żałował Kurzański.

— Tak, skąd waszmość się wziąłeś?... — zagadał szybko Jasinowski, dostrzegłszy znów żórawia.

— Jan Plichta...

— Był ojcem waszmości?

— Nie, Franciszkaninem, w r. 1399 od stolicy Apostolskiej prowidowany, po Jędrzeju Waliło, na biskupstwo wileńskie. Ojciec mój, Konstanty, mieszka w Plichtowie, w ziemi krakowskiej i okrom mnie a siostry, dzieci innych niema.

— Waszmość ma siostrę? — spytała Halszka.

— Ma, ma... — odpowiedział Jasinowski, zarzucając Plichtę znów pytaniami.

Podczas tej rozmowy Kurzański zbliżył się do Halszki i przymrużając jedno oko szepnął:

— A rada jesteś waćpanna z kawalera?

Halszka nie spuszczała oczu z Plichty.

— Nie rozmiłuj się w nim tylko waćpanna, bo go zarzezę.

— Co waćpan mówisz?... — zawołała z przestrachem Halszka.

Kurzański śmiać się zaczął.

— A poprosisz mnie waćpanna na wesele?

— Poproszę.

— A na chrzciny?

— Et!...

Sponsowiała, jak róża, kiedy ją pocałunek słońca dotknie i przybiegła do ciotki, stając przy niej.

— Już coś Kurzańsio palnąć musiał — rzekł hetman. — Chodź tu do nas stary, a młodych ostaw, niech się zapoznają bliżej.

Plichta rad z tych słów hetmana, podniósł się, ale Jasinowski za oba łokcie go ułapił i nazad posadził.

— Siedź waćpan, siedź! Dawnom już nie słyszał o różnych sprawach rycerskich, a waćpan z Moskwy, z Inflanciech wracasz, siła rzeczy wiedzieć musisz. Praw, a posłuchamy wszyscy!

— Dajże waść pokój z onemi opowieściami — rzekł hetman. — Przybyliśmy do Jagodyniec na chwilę, pożegnać się i do obozu wracać, a jutro w pochód!

— A gdzie wasza miłość zatrzymała się obozem?

Pod Białym-Kamieniem.

— Tak blisko nas! — zawołała Halszka. — Cioteczko, cioteczko! pojedźmy jutro obozowi się przyjrzeć.

— Co to, to nie! — rzekł szybko Jasinowski.

— A to czemu?... — odezwał się hetman.

— Dziewka młoda... żołdactwa kupa...

— Nie bój się waść! nie tatarska to horda, ale kawalerowie grzeczni. Zresztą poproszę imćpana Plichtę, by na spotkanie wasze wyjechał i w mojem imieniu honory wam czynił...

— Zgadzasz się waćpanna? — szepnął Kurzański do Halszki, zmrużając oko.

— Waść się uwziąłeś dziś na mnie! — odszepnęła.

— A nie widzieliście, panno Halszko, nigdy obozu w pochodzie? — rzekł Plichta, podnosząc się.

— Siedź waćpan, siedź!... — zawołał Jasinowski, za łokieć znów go biorąc. — Halszka! — zwrócił się do dziewczyny — a podstawże nam gąsiorek, czy chcesz, byśmy o suchej gębie siedzieli?

Halszka okręciła się i wybiegła, a Kurzański, który przy Plichcie siadł, szepnął mu na ucho:

— Uważasz waćpan!...

— Uważam, że mi słówka do dziewki przemówić nie daje, ale się zawiedzie.

— Cóżeście tak o Żółkwi zapomnieli? — zaczął hetman. — Teraz radzę zawitać do nas i to na dłużej. Jakkolwiek o Tatarach nie słychać jeszcze, ale czambulik jaki zabłądzić może, a waść, panie Jasinowski, to nie Jaszczołd, a i panna Supruniczówna Magdą nie jest, by z rusznicy palnęła.

— A jabym palnęła — odezwała się od drzwi Halszka, niosąc puharki i wino w gąsiorze.

Plichta się zerwał i podbiegł do Halszki.

— Siedź waść! — zawołał Jasinowski...

Ale już było zapóźno. Pan rotmistrz porwał za tacę, Halszka zaczęła się certować. Niby nie oddawała, a on niby brał. Jasinowski siedział jak na rozżarzonych węglach, a Kurzański mrugał okiem i widząc mającego chęć powstać pana Symforjana, dłonie swoje na kolana mu położył i o Tatarach gadał. Plichta do siedzących plecyma się obrócił i patrząc na Halszkę szepnął:

— Dlaczego waćpanna niebo okradłaś i oczy sobie błękitem pofarbowałaś? jakie waćpanna róże całujesz, że takie usta masz!... Boga mi! że dam się Turkowi ubić, jeżeli słówka życzliwego od waćpanny na pożegnanie nie usłyszę...

— Puszczaj waćpan, bo gąsiorek upuszczę — szepnęła Halszka w płomieniach stojąc:

— Nie żal wam mnie będzie?

— Żal!...

— Rety! dlaczego tu osób tyle, u nógbym leżał waćpanny.

Wziął puhary i gąsior i na stole przed hetmanem postawił.

— Żebyś zczezł!... — mruczał Jasinowski, zapraszając uprzejmie Plichtę, by usiadł.

Zasiedli stół, Halszka stanęła za krzesłem ciotki i pochyliła się nieco nad jej ramieniem. Śliczny owal twarzyczki dziewczęcej rysował się delikatnemi linjami na ciemnem tle ścian, powieki podnosiły się, to opuszczały, falowały rumieńce, a serce nigdy jeszcze tak szybko nie drżało. Ale jej dziwnie słodko było z tem przyspieszonem biciem serca, coś ono tajemniczego mówiło, coś szeptało i budziło jakieś uczucie nieznane, jakieś pożądania nieświadome jeszcze, które w szmerach krwi płyną i mówić się zdają:

„Daj nam życie, daj nam życie!"

Halszka wpatrzyła się w Plichtę i stała tak nieruchoma, wsparta rękami o poręcz krzesła ciotki. Plichta czuł, że dziewczyna zostaje pod czarem jego spojrzeń. Wzrok jego iskrzył się, na pięknych ustał drgał uśmiech, a serce stukało, jak młot silnie, rytmem równym i mówiło:

„To-ta! to-ta, za którą życie dasz, za którą oddasz świat!..."

Wichura.

Rozszalała się mroźna, zimowa wichura,
Załkała głucho, niby zraniona tęsknota
I oto gna z pól białych, jako noc ponura
I tumany śnieżyste na wieś senną miota.

W bezlistny i drzemiący gaj wpada z chichotem,
Szamoce drzew korony lodowatym wiewem;
Jużto sypie wał z śniegu pode chłopskim płotem,
Radując się swym dzikim, rozpłakanym śpiewem.

Śniegiem zwianym z zagonów zasypuje drogi
I biegnące mimo nich i przez pola rowy,
Ten parów, w którym dawniej szemrał strumień błogi,
A którego mróz zakuł w lodowe okowy.

Zimnem tchnieniem uderza w okna zamarznięte
Domów, kędy mieszkają ludzie roztęsknieni,
Ogrzewając wśród gawęd członki wypoczęte
I czekając słoneczka cieplejszych promieni.

Tak to hula na dworze ta wichura groźna,
Chłoszcząc mrozem zgłodniałe ptactwo i zwierzyny,
Nad któremi się znęcać będzie dola mroźna,
Dopóki nie zabłysną wiosenne godziny.

Jan. Matuszkiewicz.



Tęczowy promień.

I.

Mroki wieczorne poczęły zwolna ogarniać ziemię. Brzegiem rzeki toczącej swoje mętne fale, jechało konno dwoje ludzi. Widocznie wracali do pobliskiego miasta, lub też do obok miasta położonego dworku. Przodem jechała młoda, smukłej kibici dziewica. Towarzyszył jej starszy już wiekiem mężczyzna. Za zbliżeniem się jeźdźców można była zauważyć złoto-popielate włosy dziewczyny, jej oczy wielkie, smutne, zamyślone, brwi ciemne. Drugi jeździec był bezręki. Z postawy i ubrania można się było domyślić weterana wojskowego, sługę młodej pani.

Jechali w milczeniu.

Od strony miasta zamajaczyły również liczne, konne postacie. Dziewczyna popatrzyła na swojego bezrękiego towarzysza i szepnęła cicho: „Moskale". Natychmiast zwróciła dziewczyna swego konia na boczną drożynę, pragnąc widocznie uniknąć niemiłego spotkania. Oddział jeźdźców jadących naprzeciw hrabianki rozwinął się szerokim łukiem przez pola, odgradzając jej drogę do dworku.

— Cóżto za napad, majorze? — spytała dziewczyna dowódcę oddziału huzarów, gdy się spotkali.

— Przynoszę waćpannie, hrabianko wiele nowin — odrzekł nazwany majorem mężczyzna. — W Warszawie rewolucja. Mieliśmy wiadomości, że i w tutejszych okolicach buntownicy przygotowują zbrodniczy napad na wojsko jego cesarskiej mości, imperatora Rosji. Wskutek doniesienia przeprowadzono rewizję u pani i znaleziono sztandar powstańczy, wiele broni, mapy wojskowe, książki obwiniające. Zawiele dowodów obciążających dla zesłania na Sybir. Teraz, albo wysłuchasz mej prośby i zostaniesz moją żoną, ja cię obronię, albo jesteś aresztowana.

Daremnie major Werculin czekał odpowiedzi. Dziewczyna nie wyrzekła więcej ani słowa, jechała w milczeniu, otoczona huzarami.

Nagle ścisnęła hrabianka konia ostrogami, i zanim jeźdźcy mogli przeszkodzić, runęła z koniem w mętne nurty Dźwiny. Kilku jeźdźców zaczęło płynąć za hrabianką, lecz czy obawiali się śmierci w mętnych nurtach rzeki, czy konie mieli słabsze, zmuszeni byli zawrócić, z wyjątkiem trzech. Tych trupy znaleziono następnego dnia w łozinach i kilka wiorst od miejsca napadu na hrabiankę, Emilję Platerównę. Hrabianka znikła bez śladu.

II.

Od dwóch godzin trwała już zacięta bitwa między oddziałem powstańców, a wojskami moskiewskiego pułkownika Werculina. Oddział powstańczy liczył około tysiąca rycerzy Wolności, zgórą dwieście karabinów i strzelb, i kilkadziesiąt koni. Werculin wiedział, że oddziałowi polskiemu hetmani ta, która wzgardziła jego ręką, która nazwała go niegdyś jeszcze wrogiem swojego Narodu. Pułkownik daremnie pragnął zatopić pamięć o pięknej Polce w orgjach pijackich i w niesłychanych okrucieństwach, popełnianych na rodakach hrabianki. Cieszył się, że los jemu właśnie pozwolił być sędzią i katem dla niewdzięcznej dziewczyny. Zwycięskiej dla siebie bitwy był pewny. Nakazał nawet swemu wojsku, by starało się koniecznie dowódcę buntowników żywego pojmać, a on z nim już po swojemu pohula i ucieszy zemstą swe serce. Teraz już nie poprosi hrabianki, by została jego żoną. Gdy ją dostanie, będzie jego kochanką i sługą. Nikt się o nią nie upomni...

Lecz cóżto?! Jego znacznie liczniejszy i lepiej uzbrojony oddział zaczyna się cofać przed buntownikami? Zapomniał, że powstańcy mają silniejszą broń, aniżeli jego okrutna horda. Powstańców ożywiała i wiodła w bój święta miłość Matki-Polski, miłość ukochanego wodza, dziewicy-bohatera. Dla niej każdy z jej oddziału chętnie życieby poświęcił.

Wtem na pobliskiem wzgórzu ukazał się liczny oddział kawalerji.

— Sława Bohu jedinomu — pomyślał Werculin, pewny nadchodzącej pomocy.

Dowódca oddziału przybywających spojrzał badawczo na pole bitwy, wskazał mieczem w stronę Moskali i nowo przybyli, jak grom uderzyli na cofający się oddział moskiewski. To kuzyn panny Platerówny przybywał jej z pomocą. Werculin lekko ranny ratował się ucieczką w szalonym popłochu.

Hrabia Plater opowiadał Emilji o zwycięstwach oręża polskiego pod Stoczkiem 14 lutego, pod Dobrem 17 lutego, o bitwie chlubnie stoczonej pod Grochowem 25 lutego, o świetnem zwycięstwie Prądzyńskiego pod Iganiami. Armja polska liczyła do dziewięćdziesiąt tysięcy wojska w końcu marca 1831 r. Spodziewano się szybkiego przybycia oddziałów polskich z pomocą dla powstańców na Żmudzi i Litwie, które już liczyły zgórą siedm tysięcy zbrojnego ludu. Chwile te były radosnym, tęczowym promieniem w mrokach niewoli i ucisku. Podobnie tęczowym promieniem był orężny czyn Dziewicy-bohaterki, dla której wzorem była Dziewica Orleańska, a naśladowczyniami Orlęta lwowskie i bohaterki w walkach z bolszewikami.

III.

Polskie wojska powstańcze opuściły starożytne miasto Oszmianę, około siedmiu mil oddaloną od Wilna. Pułkownik Werculin szalał w bezbronnem mieście ze swemi okrutnemi hordami najeźdźców. Setki kobiet i dziewcząt hańbiono i okrutnie mordowano. Setki główek dziecięcych roztrzaskiwano o mury. Ubogi jest język ludzki na wyrażenie bezmiaru zbrodni i okrucieństw popełnionych nad kobietami, dziećmi i niedołężnymi starcami. Wróg topił powstanie w potokach krwi niewinnej.

Przyczyny upadku powstania znane: przemoc wroga, brak wojskom polskim amunicji, brak zdolnych wodzów, a przedewszystkiem niezgoda. Stoczono trzy decydujące bitwy w powstaniu listopadowem: pod Grochowem, Ostrołęką i Warszawą, a w żadnej z nich nie było wszystkich polskich sił (dyw. Krukowieckiego, korp. Umińskiego, korp. Ramorina). Emilja Platerówna po dwóch zwycięsko stoczonych bitwach, trzecią przegrała i musiała się cofać. Niepowodzenia sprawy ojczystej zgubnie odbiły się na jej zdrowiu, umarła zaś na wieść o zajęciu przez Moskali Warszawy. Werculin strapiony myślą utraty hrabianki i prześladowany rzekomo przez duchy ofiar okrutnie pomordowanych, skończył śmiercią samobójczą.

Jan Pelczar.

Jak Zapusty, to Zapusty!



Jak Zapusty, to Zapusty,
Co tam, Bracie, jakaś bieda!
W poście spadnie brzuszek tłusty,
Bo babusia jeść ci nie da...

W karczmie żwawo rżną skrzypice,
Icek gładzi brodę siwą,
Odświąteczną wdział jupicę
I podaje gościom piwo...

Maciek Kaśkę wziął pod boki,
Stanął hardo przed skrzypkami
— O grajcież mi, wy posoki —
Rzekł — inaczej bieda z wami!

Rżną skrzypice, huczą basy.
Aż się trzęsą w karczmie ściany!
Walce, polki, obertasy,
Kujawiaczek ukochany!...

Tańce idą aże żywo,
Kieszeń z grosza wciąż się czyści,
Żyd rozdaje wódkę, piwo
I oblicza swe korzyści.

A gdy miną już Zapusty,
Gdy się skończą polki, walce,
Żydek będzie miał post tłusty,
A chłop będzie lizał palce.

Antoni Socha.

Kuligiem po śnieżnym stepie.



W artykule wstępnym opisaliśmy staropolski kulig. Powyżej podajemy obrazek, przedstawiający taki kulig. Widzimy więc na pierwszym planie sanie, zaprzężone w ogniste rumaki, a na saniach tych siedzącą żydowską muzykę. Obok sani harcuje na koniach dwóch uczestników kuligu, a w dali widać innych, podążających w ślad za pierwszymi. Cały korowód sań, wiozących rozweselonych kuligowi-

czów, mknie po śnieżystym stepie; aby zatrzymać się w najbliższym dworze na wesołą zabawę. Ale niezawsze kulig kończył się wesoło. Niejednokrotnie stado wilków napadało na taki kulig, porywając zeń rozbawione osoby, a kiedyindziej napadali nań Tatarzy lub Turcy i uprowadzali niejedną niewiastę w ciężki jasyr, kładąc trupem rozochoconych, a często i podpitych kuligowiczów. Nie przeszkadzało to jednak, że rokrocznie kuligi takie powstarzały się jednak, że rokrocznie kuligi takie powtarzały się podległości. Dziś oczywiście pozostało po nich tylko wspomnienie.





MACIEK BZDURA GADA:

Wkiejsik powiadał prefesur do pana organisty, ze pan organista znalazł się wobec prefesura nietaktownie. Medytowałem całą noc i bez cały dzień nazajutrz i nie mogłem w zaden sposób spenetrować, co to jest nietaktowne zachowanie się. Ale od cegóz jegomość? Jegomość za wszyćkich się modlą, to i za wszyćkich powinni mieć rozum, bo ich przecie na to Ojciec święty stworzył. Tak i ja wtedy, niewiele pytając, walę do jegomości i powiadam jem, jak i co jest. A oni mi na to:

— Kuzde zachowanie się cłowieka moze być, albo taktowne, albo nietaktowne. Cyli inacej właściwe i niewłaściwe. Zebyś to lepiej zrozumiał, dam ci parę przykładów. Oto naprzykład przyjdzies do twojej krzesnomatki, której na świętego Józefa bociek przyniósł małego myrdaca. Matka, jak matka, choćby się jej urodził nawet karakon, to będzie się niem zachwycać. Ty przecie mas gały i widzis, ze ten mały jej myrdac jest brzydki, jak utrapienie. Jakbyś ją chciał pociesyć i powiedział, ze i inkse dzieci są przecie brzyćkie, to byłbyś nietaktowny. Ale jak jej powies, ze z jej brzdąca bije samo zdrowie i zycie, to ją uciesys i postąpis taktownie.

— Jezeli znowu zobacys dzieuchę, której dawno nie widziałeś, i rzeknies jej: „Aleześ się ty klempo spasła jak łujkowa kobyła“, to postąpis bardzo nietaktownie. A zasię, gdy jej rzeknies: „Ty, Maryś, jakaś była urodna łońskiego roku, takaś i dziś!“ — to postąpis taktownie, choć ten łoński rok był przed dziesięciu laty.

— A jakbyś się spytał twojej somsiadki, kto jest ta ładna dziopa, z którą ciągle się swenda jej chłop, tobyś postąpił bardzo nietaktownie. Ale gdy jej powies, ze chłop jej poza nią świata Bożego nie widzi, toś cłek niezmiernie taktowny.

— Jeśli chłopak ulubi se jaką dziopę i ciągiem jej w ślipia patrzy, a na matkę ani nie zyrknie, to jest on wobec matki bardzo nietaktowny. Ale gdy ma nawet najulubiejsą dzieuchę i mizdrzy się do niej ino poza plecyma matki, a przy matce więcej się matką zajmuje, anizeli swoją dzieuchą, to rodzona matka uzna go za bardzo taktownego chłopaka i choćby ojciec niebardzo był za taką zeniacką, to matka wszyćko z nim przerobi, bo se pomyśli: „A kto wie? A kto wie?“

— Jeśli spotkas gdzie za stodołą gruchającą parę i w nim poznas swego przyjaciela i idzies się do niego witać, toś gamoń i cłek bardzo nietaktowny. Ale gdy udas, ze ich nie widzis, i przejdzies wele nich cichutko, toś cłek z ogromnym taktem.

— A juz najnietaktowniejsy człowiek to taki, który pozycył drugiemu pieniędzy i co trochę woła o ich oddanie. Powinieneś, choćbyś był święcie przekonany, ze ci przepadną, udawać, ze on ci nic i nigdy nie był winien. Dłużnik twój będzie cię przed wszyćkiemi chwalił, ześ jest okrutecnie taktowny człowiek.

— Nietaktownemi ludźmi są wszelkie policyjanty, sędziowie, plekuratory i tem podobni ludzie. Łapią oni złodziejasków, sądzą i wsadzają do kreminału. I gdzie tu jest rozum, gdzie jakakolwiek wdzięcność. Zamiast być im wdzięcnymi, ze ci dają im utrzymania, ze się starają, aby mieli posady i na tych posadach penksje, to oni ich prześladują na kuzdem kroku i zyć jem prawie nie dają. Bo cózby było po policajach, gdyby nie było złodziejów; coby było po sędziach, gdyby tak wszyscy złodzieje na świecie wymarli; coby robili plekuratory, gdyby im rozmaici rzezimieskowie zatrudnienia nie dawali? Scezłoby to wszyćko, bo gdyby nie mieli roboty, rządby ich nie trzymał i nie dawał im pieniędzy. Słowem są to ludzie nietaktowni, którzy swoich chlebodawców prześladują na kuzdym kroku. Jakby taki policyjan, sędzia, cy plekurator byli ludźmi taktownemi, toby kuzden z nich uścisnął z miłością spracowaną złodziejską prawicę i nie robiłby mu nic naprzeciwko. Ale wis, Maciuś, świat juz taki zatracony, ze na nim więcej ludzi nietaktownych, jak taktownych i sam mógłbyś o tem się przekonać, gdyby ci się chciało więcej myśleć. Oto, jak ci się wymsknie w twoich gadaniach jakieś nieprzyzwoite słowo, to ludzie, gdyby byli taktowni, nie wygadywaliby na ciebie, aleby cię jesce za to pochwalili. A ilez to razy jest tak, ze tyś ani nie myślał o nicem złem, ale ze oni sami są źli, to na ciebie wyćciwiają. I juz tacy ludzie nie mają najmniejsego taktu.



I cóż mi z tego...

I cóż mi z tego, że kwiaty pod stopy ściele mi życie —
Sytam uśmiechów, hołdów i westchnień namiętnych.
Mnie serce kona z bólu i zamiera skrycie —
Mrozi mnie para szarych oczu obojętnych.

Powódź róż szkarłatnych na niebie rozlewają zorze,
Wiatr w bezlistnych koronach cicho płacze.
Ile ja cierpię, tylko Ty wiesz o Boże!
Bo szczęścia mego nigdy nie obaczę!

H. Latawcówna.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Zanzibar VI.

Może zbyt długo zatrzymaliśmy się na tak niewiele znaczącej wyspie, jaką jest Zanzibar, ale przecież i tu znaleźliśmy dosyć rzeczy ciekawych, o których należało pomówić. Nim się z nią pożegnamy, pomówimy jeszcze nieco o nieprzyjaciołach tamtejszych mieszkańców, jakimi są tam jadowite węże.

Wogóle świat afrykański pod względem gatunków zwierząt posiada wielką rozmaitość, ale nie są one wszędzie jednakowo rozmieszczone. Główne bogactwo zwierząt przypada tam, gdzie są najlepsze warunki pożywienia, więc na sawanny trawiaste zrzadka drzewami poprzerastane, gdzie zwierzę i dosyć paszy i robactwa znaleźć może, gdzie jezioro lub rzeka ze swemi wodnemi roślinami nowe stwarza warunki życia.

Tak, jak zresztą wszędzie, i tu jedne zwierzęta żyją w tej okolicy, inne w innej, a granicy ich życia dokładnie niemal rozróżnić się nie da. Z jednej krainy przechodzą w drugą, mieszają się. Niektóre tylko gatunki trzymają się pewnej okolicy. Jeżeli weźmiemy to pod uwagę, to możemy powiedzieć, że w Afryce żyją niemal wszystkie znane gatunki zwierząt. Są tam płochliwe antylopy, hypopotamy, dzikie osły, gazele, żyrafy, bawoły, owce, kozy i niezliczone stada ciekawych żeber. W Abisynji szybko uwija się złośliwy czarny nosorożec z podwójnym rogiem na nosie. Od Sudanu i Sahary zabiegają szakale, hyeny, lisy stepowe. Po rzekach i jeziorach pluskają się krokodyle, a w pobliżu nich żyją lwy i lamparty. Pełno tam myszy i szczurów. Po błotach brodzą bociany, ibisy, ponad wodami żerują pelikany, stada czarnych i białych gęsi i kaczek, pełno orłów, żórawi, strusi, gołębi i turkawek. Słychać wrzask niezliczonego ptactwa. Pełno pijawek. Mrówki termity budują olbrzymiej wielkości mrowiska. Szarańcza jest plagą niektórych okolic.



Gniazdo wężów na Zanzibarze.

Po lasach snuje się cała masa wężów najrozmaitszych gatunków, a pośród nich są i takie, które jednem ukąszeniem zabijają człowieka. Niektórzy ludzie są przekonani, że wąż posiada w pyszczku żądło, którem zatacza na ciele człowieka kółko, bardzo szybko potem nabrzmiewające i powiększające się momentalnie. Twierdzą, że widzieli nieraz już to żądło, jak je wąż z pyszczka wysuwa. Tak jednak nie jest, gdyż to, co ludzie nazywają żądłem, jest tylko językiem węża, widełkowato rozszczepionem. Wąż kłuje dwoma ząbkami, umieszczonemi w górnej szczęce. Ząbki te posiadają w sobie próżne przewody, przez które przechodzi jad z pęcherzyków, umieszczonych pod zębami. Gdy wąż wbija zęby w ciało człowieka lub zwierzęcia, zęby te naciskają owe pęcherzyki, napełnione jadem i jad ten przez otworki w zębach przedostaje się do ranki, zadanej zębem. Ponieważ jad ten jest nadzwyczaj silną trucizną, przeto, rozchodząc się szybko po ciele z krwią, zatruwa szybko cały organizm. Najszybszym i najskuteczniejszym ratunkiem dla ukąszonego jest jak najspieszniejsze wyssanie ranki, a następnie silne związanie ukąszonej ręki i nogi, aby nie dopuścić do rozchodzenia się owej trucizny po ciele ludzkiem. Trzeba zaznaczyć, że połknięty nawet jad węża żołądkowi nie szkodzi, trzeba jednak uważać, aby usta nie były skaleczone, gdyż wysysając jad skaleczonemi ustami, mogłoby się ocalić ukąszonego, a siebie natomiast zatruć.



Wyprawa murzynek po wodę.

Lasy zanzibarskie posiadają kilka gatunków bardzo jadowitych wężów. Pełzają one po ziemi, wspinają się na drzewa tak, że niemal na każdym kroku grożą

swoimi ząbkami człowiekowi. Widzimy to zresztą na naszym pierwszym obrazku. Oto dwaj murzyni wybrali się za jakąś potrzebą do lasu. Kiedy już wracali, natknęli się na całą gromadę jadowitych wężów. Jeden z nich wyłazi ze spruchniałego pnia drzewa, podczas gdy drugi kryje się w niem, a trzeci, oplótłszy się na gałęzi, zwiesił łeb ku dołowi, aby się bronić przed możliwem niebezpieczeństwem, albo też zaatakować intruzów, którzy mu zamącili błogi spoczynek. Większość węży jadowitych, używa swych zębów wobec człowieka przeważnie do obrony, a rzadko atakuje bez powodu.

Z powodu mnogości wężów wycieczka do lasów zanzibarskich dla pojedynczego człowieka jest niebezpieczna. Jeżeli idzie razem więcej osób, prędzej spostrzegą te jadowite gady i od nich się zabezpieczą. Dlatego też murzynki nawet po wodę, jeżeli ta znajduje się dalej od ich osad a w pobliżu lasu, idą gremjalnie, jak to widzimy na naszym drugim obrazku. Oto kilka niewiast tamtejszych, umocowawszy swe „pociechy" na plecach, lub na brzuchu, głowach i „gęsiego" postępują ostrożnie po wodę lub też już z wodą. Pierwsza bacznie patrzy przed siebie, czy nie ujrzy gdzie niebezpiecznego węża, inne rozglądają się po bokach, a jeżeliby która z nich zobaczyła groźnego przeciwnika, głośnym krzykiem odstraszają go od siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na bezludnej wyspie.

Powieść awanturnicza.

ROZDZIAŁ VI.

Rozpoczęła się podróż. I każdy przyzna, że bez wszelkich trudności. Profesor Tartelett nie przestawał jednak z żelazną logiką powtarzać:

— Każda podróż musi się zawsze rozpocząć, niewiadomo tylko, jak i gdzie się zakończy.

Z kajuty Godfreya wychodziło się w tylnej części pokładu na czworobok, służący za jadalnię. Młody nasz podróżny miał tu wspaniałe pomieszczenie. Obraz Finy zawiesił na najlepszem miejscu, przeznaczywszy mu najlepiej oświetloną ścianę. Łóżko, umywalnia, kilka szaf na garderobę i bieliznę, stół do pracy, fotel do siedzenia — czegóż więcej potrzeba pasażerowi, liczącemu 22 lata? W takich warunkach mógłby doskonale odbyć 22 razy podróż naokoło ziemi.

Tartelett jednak stracił swój dobry humor.

Jego kabina, mieszcząca się tuż obok kabiny ucznia, wydawała mu się ogromnie ciasną, łóżko twardem, a przestrzeń, wynosząca sześć łokci kwadratowych, nie pozwalała na wykonywanie kroków tanecznych i rytmicznych ruchów.

Posiłki spożywano wspólnie, a urządzono to w ten sposób, że Godfrey i Tartelett siedzieli naprzeciw siebie, a kapitan i porucznik zajmowali miejsca skrajne przy kołyszącym się stole. Ta jego chwiejność zgóry kazała się domyślać, że miejsce profesora nieraz będzie puste.

Przy odjeździe w pięknym miesiącu czerwcu, powiewał lekki wietrzyk północno-wschodni. Kapitan Turcotte kazał rozpiąć żagle dla zwiększenia szybkości parowca, który dzięki temu nie chybotał się tak bardzo na obie strony. A ponieważ fala parła go z tyłu, więc nie kołysał się też zbytnio naprzód. Nie była to więc jazda, przy której pasażerom krew ucieka z twarzy, oczy się zapadają, a czoła blędną śmiertelnie. Było wcale znośnie. Okręt na spokojnem morzu zmierzał w kierunku południowo-zachodnim, słabo się tylko kołysząc. Szybko zniknęły z oczu wybrzeża Ameryki.

W ciągu dwóch dni nie zdarzyło się nic takiego, coby godnem było wzmianki. „Marzenie" miało podróż pomyślną. Początek był całkiem dobry — mimo to jednak kapitan Turcotte od czasu do czasu zdradzał niepokój, który napróżno kryć usiłował. Każdego dnia, gdy słońce przechodziło przez Południk, konstatował dokładnie położenie statku. Można też było zauważyć, że za każdym razem zabierał do swej kajuty porucznika i obaj prowadzili tam tajne rozmowy, jakby się naradzali nad jakimś ważnym wypadkiem, którego oczekiwali. Godfrey, nie mający wyobrażenia o żegludze, nie zwracał na to uwagi, natomiast sternik i kilku majtków mocno się temu dziwili.

A zdziwienie ich było tem większe, że w ciągu pierwszego tygodnia nocną porą dwa lub trzy razy bez żadnego powodu zmieniono kierunek drogi i dopiero we dnie „Marzenie" znów płynęło w dawnym kierunku. Dało się to wprawdzie wytłumaczyć przy żaglowcu, podlegającym zmiennym warunkom atmosferycznym, ale przy parowcu było czemś zagadkowem, gdyż w razie niepomyślnego wiatru, zawsze przecie może zwinąć żagle.

Dwunastego czerwca rano zdarzyło się na pokładzie coś nieoczekiwanego.

Kapitan Turcotte, porucznik i Godfrey mieli właśnie zabrać się do śniadania, gdy z pokładu dobiegły krzyki. Niebawem sternik pchnął gwałtownie drzwi i zjawił się w kajucie.

— Panie kapitanie! — zaczął.

— Cóż takiego? — żywo spytał Turcotte, gdyż żeglarz zawsze musi być na wszystko przygotowany.

— Jest tu Chińczyk! — rzekł sternik.

— Chińczyk?

— Tak! Chińczyk, którego przypadkiem odkryliśmy w dolnej części pokładu.

— Dolnej części pokładu! —. wykrzyknął kapitan. — Do kroćset piorunów, do wody z nim!

— All right! — odparł sternik.

Wobec głębokiej pogardy, z jaką każdy Kalifornijczyk odnosi się do mieszkańca państwa słońca, poczciwiec ten uznał ów rozkaz za całkiem naturalny i ani przez chwilę nie zawahał się przed jego spełnieniem.

Kapitan Turcotte wstał i w towarzystwie porucznika i Godfreya skierował się ku przedniej części pokładu.

Tam istotnie kilku majtków pochwyciło Chińczyka, nie szczędząc mu kułaków. Był to człowiek, mogący liczyć lat 35 do 40, o twarzy inteligentnej. Dobrze zbudowany, bez zarostu, czynił wrażenie nieco wyczerpanego 60-godzinnym pobytem w źle wietrzonej, ciemnej kryjówce na dnie okrętu, gdzie dostrzeżono go przypadkiem.

Kapitan dał znak, by puścili nieszczęśliwego intruza.

— Kto jesteś? — spytał.

— Syn słońca.

— Nazwisko?

— Seng-Wu — odparł Chińczyk. W mowie państwa słońca imię to znaczy: „nieżyjący".

— A co tu robisz na pokładzie?

— Jadę — spokojnie odpowiedział Seng-Wu, — nie przysparzam wam jednak żadnego kłopotu.

— To prawda! Najmniejszego! W chwili odjazdu byłeś ukryty w dolnej części statku?

— Tak, panie kapitanie.

— By bezpłatnie dostać się z Ameryki do Chin, na drugą stronę Pacyfiku?

— Gdyby pan kapitan zechciał być tak dobrym!

Kilku majtków pochwyciło Chińczyka...

— A jeśli nie zechcę być tak dobrym, żółtoskóry złodzieju i poproszę cię, byś sobie sam popłynął do Chin?

— To spróbuję — z uśmiechem odparł Chińczyk — ale wiem, że po drodze utonę.

— Przeklęty Johne! — krzyknął kapitan. — Ja ci dam nauczkę, jak się to jeździ bezpłatnie. (Johnem nazywają Kalifornijczycy wszystkich Chińczyków, w ten sposób wyrażając im swą pogardę).

Kapitan Turcotte udawał bardziej rozgniewanego, niż tego wymagała sprawa i byłby może wykonał swą groźbę, gdyby w tej chwili nie był się wmieszał Godfrey.

— Kapitanie — rzekł — jeden Chińczyk na pokładzie „Marzenia", to znaczy o jednego Chińczyka mniej w Kalifornji, gdzie ich przecież tak wielu.

— Gdzie ich za wielu! — odparł kapitan.

— Za wielu, oczywista! — potwierdził Godfrey. — Otóż to, że ten nieborak uznał za stosowne uwolnić Kalifornję od swej osoby, powinno mu zjednać trochę naszego współczucia. Phi!, Gdy dojedziemy do brzegów Szanghaju, wyrzucimy go na ląd i obejdzie się bez hałasu.

Zgadzając się na twierdzenie kapitana, że w Kalifornji jest za wielu Chińczyków, Godfrey wyrażał pogląd prawdziwego Kalifornijczyka.

Obecnie w samej Kalifornji żyje przeszło 50.000 Chińczyków. Są oni bardzo pracowici przy płukaniu złotego piasku, przytem nadzwyczaj cierpliwi i skromni, gdyż poprzestają na garści ryżu, kilku łykach herbaty i odrobinie opjum. W stolicy Kalifornji odgraniczono ich od ludności tubylczej, wtłaczając ich do ulicy Sacramento, ozdobionej chińskimi napisami i latarniami. Tu widuje się ich tysiącami w kabatach o szerokich rękawach, w stożkowatych kapeluszach i spiczastych butach. Tu żyją jako kramarze, ogrodnicy lub pracze — o ile nie są kucharzami i nie należą do trup aktorskich, we francuskim teatrze grających sztuki chińskie.

Seng-Wu — niema potrzeby robić z tego tajemnicy — należał właśnie do jednej z takich trup, w której zajmował stanowisko pierwszego komika — o ile określenie europejskie da się zastosować do artysty chińskiego.

Jednem słowem, Seng-Wu był komikiem. Po skończonym sezonie, który mu przyniósł więcej sławy, niż brzęczącej monety, zapragnął ojczyznę swą ujrzeć wcześniej, niż jako trup. Z tego powodu na los szczęścia, ukrył się na międzypomoście „Marzenia".

Mając zapasy żywności, spodziewał się, że incognito uda mu się przebyć tę parotygodniową podróż i niespostrzeżenie umknąć gdzieś na wybrzeżu chińskiem.

Wszystko to wydawało się dość prawdopodobnem. A w każdym razie pomysł był wcale niezły.

Godfrey miał rację, ujmując się za intruzem, a kapitan Turcotte, udający bardziej rozgniewanego, niż był w istocie, bez wielkiego żalu wyrzekł się przyjemności pogrążenia Seng-Wu w odmętach oceanu Spokojnego.

Seng-Wu nie wrócił już wprawdzie do swej kryjówki na spód okrętu, ale i na pokładzie nie miał nikomu zawadzać. Flegmatyczny, małomowny, unikał zetknięcia z majtkami, chętnie częstującymi go kułakami. Żywił się własnemi prowiantami. Był zresztą tak chudy, że jego ciężar, doliczony do wagi ładunku, niezbyt obciążał „Marzenie". Jakkolwiek więc Seng-Wu podróżował bezpłatnie, to podróż ta nie kosztowała Williama W. Kolderupa ani jednego centa.

Jego obecność na pokładzie skłoniła jednak kapitana do uwagi, której sens mógł być zrozumiałym jedynie dla porucznika.

— Ten przeklęty Chińczyk może się stać dla nas wielką przeszkodą! W takim razie, tem gorzej dla niego!

— Poco się podstępnie wślizgnął na statek! — odparł porucznik.

— Przedewszystkiem pragnie on się dostać do Szangaju — mruknął kapitan. — Bierz licho Johna i wszystkich synów Johna!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zima.

Już nad światem chmur sklepienie
Mąci się i zżyma,
Idzie do nas z srogiem pieniem
Ostra, długa zima.

Już tysiące białych ptaków
Leci na świat Boży;
Już nie widać pól i krzaków
Z śniegowej obroży.

Biały całun legł na lanie,
W świetle słońca lśni,
Rzucił ptaszek swe śpiewanie
I o wiośnie śni.

Mróz trzeszczący skuł w kajdany
Stawy, źródła, rzeki;
Cały świat śpi zadumany,
Lecz snem — nie na wieki.

L. Kuboszek.

Jurek!

(Obrazek wiejski).

— Co słychać u Was — Janowa?

— Et, nic dobrego proszę pani. Chłopak mij uż drugi tydzień chory.

— Chory, mówicie? Czyście go zawieźli do lekarza?

— Nie! a pocóż mu lekarza, kiedy leży całemi dniami bez pamięci.

Zrobiło mi się smutno i weszłam za kobietą do izby. Uderzył mnie na samym wstępie zaduch nieprzewietrzałego mieszkania.

W samym kącie na ławie leżał chłopak może dziesięcioletni z podkrążonemi oczyma i gorączką spalonemi usteczkami.

Bardzo ładny i o inteligentnym wyrazie twarzy chłopak. Leżał bez ruchu i zdawało się, że albo umarł, albo śpi głęboko.

— Ależ czemu na Boga tak go marnujecie — krzyknęłam.

— Co marnujem, — odrzekła mi kobieta, co mam z nim zrobić? Jeść nie chce. Gorączka go pali i co z nim robić?...

— Trzeba go było zawieźć do lekarza. Macie konie.

— A konie! kiedy on nie ma przytomności.

— To do szpitala go oddajcie — irytowałam się nadal.

— Niech umiera w domu, co go tam będę ciągła po szpitalach — odrzekła mi z tępą bezradnością baba.

— Ależ tam go wyleczą, są doktorzy, siostry — pomoc dadzą, a tu chłopak, jak świeca wygasa.

Nic nie wzruszyło kobiety. „Niech w domu umiera" — powtarzała ustawicznie.

— Będziecie mieli na sumieniu chłopaka — próbowałam w ten sposób wpłynąć na jej chłopski upór.

— Nie. — Co tam, jak trza umrzeć, to i w szpitalu umrze.

— Kobieto! Bójcie się Boga, czy nie żal wam tak mówić?

— Słuchajcie! chłopak może jest chory na szkarlatynę, lub tyfus — macie jeszcze inne dzieci i mogą się zarazić.

— Co będzie, to będzie — odpowiedziała mi znowu w swoim upartym tonie.

Była niezwruszona. Wyszłam, a sercem mem wstrząsnął niepokój i przeczucie, że Jurka nie ujrzę więcej. Dopytywałam się o jego stan. Odpowiedziano mi, że mu się polepszyło i coraz mu coś innego smakuje. Spotkałam raz ojca Jurka, jak szedł po wódkę dla niego.

— Poco mu wódki gospodarzu?

— Chce, to mu dam. — Później będę miał na sumieniu, że umarł bez to, com mu jej nie kupił.

Znosili mu różne niedorzeczności, których żądał, a do lekarza, czy szpitala nie odwieźli.

W parę dni później suche szkapięta zawiozły Jurka na cmentarz wiejski. Dzwony dziwnie dzwoniły, dziwiąc się chłopskiej filozofji i ciemnocie.

Wódkę mu dali, bo tego żądał, a do lekarza nie wieźli.

Dowiedziałam się znacznie później, że reszta dzieci po śmierci Jurka się pochorowała, ale jakoś cudem wydobrzeli.

Dziwny i niewytłumaczony jest upór chłopski.

Helpern Marja.

Nad brzegiem przepaści.

Na dworze było ciemno.

Niebo powleczone było grubemi warstwami ciemnych chmur. Jesienny wicher jęczał w nagich gałęziach drzew, szeleścił zeschłymi liśćmi, brał w swe mocarne ramiona tęgie drzewa, naginał ich pnie i szarpał gałęziami.

Hulał w ciemnościach nocy i wyprawiał swe harce.

Przez niski uszkodzony płot, okrążający wielki ogród, w środku którego stała bogata willa — przecisnął się człowiek i szybkiemi krokami zdążał ku domowi. Szedł cicho i ostrożnie, wpatrując się w ciemność i za każdym szelestem zeschłych liści pod stopami, przystawał i nadsłuchiwał. Miał się na baczności.

Doszedłszy do tylnych drzwi domu, wyjął z kieszeni klucz i bez zgrzytu otworzył, a wszedłszy do środka, zamknął je za sobą. Nie na darmo był sługą w tym domu: miał czas dorobić sobie odpowiednie klucze.

Znalazł się w małej sieni, z której schody prowadziły na górę, do dalszych pokoi, w których srebru złożyć miał dzisiejszą wizytę.

Ogarnęło go dziwne uczucie. Zdawało mu się, że z każdego kąta spoglądają na niego jakieś tajemnicze oczy. W przeciągłym poświście wichru słyszał niejako głos zmarłej matki: synu, odstąp od twego zamiaru, zaniechaj; ale party siłą złych duchów, pozostał głuchym na głos sumienia. Był sam jeden na świecie, nie miał nikogo, ktoby go upomniał, ze złej drogi skierował. Duszę jego poczynała przeżerać gangrena zepsucia.

Lenistwo, to straszne lenistwo, uczepiło się tego biednego nędzarza, a w parze idący z lenistwem głód, począł mu dokuczać i właśnie on, kazał mu maczać ręce w czynach nieprawości.

Wnętrze domu zalegała grobowa cisza, tylko z pola dochodziło głuche wycie wichru, rozlegające się ponurem echem. Przekonawszy się, że nic mu tu nie grozi, począł się wspinać po schodach na górę. Za każdem skrzypnięciem schodu, przystawał i nadsłuchiwał.

Znalazł się wreszcie na górnym korytarzu. Ręce wyciągnął przed siebie i tak po omacku szedł ku jadalni. Nareszcie ręce jego natrafiły na jakiś zimny przedmiot, stojący przy ścianie. Z przestrachu ręce mu opadły, zimny pot wystąpił na jego czoło, a serce poczęło walić w jego piersi jak młotem. Jeszcze raz wyciągnął rękę, ale tym razem poznał pod ręką dokładnie skostniałą twarz człowieka. Zrobiło mu się odrazu gorąco, nogi ugięły się pod nim, że omało nie upadł. Rękami drżącemi zapalił światło, chcąc się przekonać co to ma znaczyć. Oczom jego przedstawił się taki widok: O ścianę stał oparty, duży wizerunek Pana Jezusa na krzyżu. Zdawał się bardzo cierpieć. Gdyby piorun uderzył przed nim, nie sprawiłby takiego przerażenia, jak ten krzyż. Z drżących jego rąk wypadło światło, z piersi wydarł się głuchy jęk, a upadłszy na kolana, wyszeptał słowa pokuty: Boże bądź miłościw mnie grzesznemu.

Za małą chwilę słychać było lekkie skrzypanie schodów, i jakiś cień ukazał się we drzwiach, a zamknąwszy za sobą, znikł w ciemności.

Wicher jęczał boleśnie, zanosił się od łkania i jakby w rozpaczy targał gałęzie drzew.

B. B. z Wiśniowy.



Poradnik gospodarczy.

Przypomnienia pszczelarskie na luty.

Wprawdzie gdy te słowa piszemy, mróz na świecie jeszcze kilkastopniowy, wiaterek mroźny szczypie w nos, a lód pokrywa stawy i rzeki, ale mimo to wiosna zbliża się szybkim krokiem. Według kalendarza rozpoczyna się ona dopiero 21 marca, ale przyroda nie liczy się zupełnie z kalendarzem i często już w lutym uśmiechnie się człowiekowi, darząc go niespodziewanem ciepłem. Nie trwa ono jeszcze długo, nadchodzą znowu zimne dni, ale człowiek i wszelkie stworzenie odczuwa przedsmak tego wszystkiego, co wkrótce ma nastąpić. Korzystają z tego ludzie, korzystają i zwierzęta. Na taki dzień pogodny oczekują w ulach gromady naszych pszczółek, aby po długiej zimie znowu wylecieć na pole, nacieszyć się promieniami słońca i rozpocząć wewnątrz swej siedziby całoroczną pracę.

Zdarza się więc często, że już w lutym, gdy w cieniu jest ponad 8 stopni Celsiusza, wylatują pszczółki poraz pierwszy w roku na pole. Nazywa się to pierwszym oblotem pszczół i od tego oblotu rozpoczyna się nowy rok w pasiece. N. p. w ubiegłym roku już 5 lutego termometr wskazywał w cieniu podnad 9 stopni ciepła i wiele pni w dniu tym się obleciało.

Oblatujące się po raz pierwszy po zimowli pszczoły mają na celu wyrzucenie poza ulem kału, jaki się przez czas dłuższy w ich maleńkich kiszeczkach odchodowych nagromadził. Zaczyna się więc ruch koło uli, słychać wokoło głośny i wesoły brzęk, poczem nastaje w ulu spokój, jakby nigdy nic nie zaszło. Ale już po oblocie pasiecznik poznaje stan swego ula. Jeżeli pszczoły wylatują żwawo, jeżeli pobują chwilę i wracają gromadnie do ula, jest to oznaką, że pień znajduje się w dobrym stanie. Jeżeli zaś tylko wypryskują pojedynczo, jeżeli natychmiast siadają na ulu i nawet na nim oddają swój kał, albo też rozłażą się po wierzchu ula, po daszku, lub spadają na ziemię, jest to oznaką, że im coś brakuje, że tam coś jest nie w porządku. A więc albo nie mają już w plastrach żywności, albo też w czasie zimy utraciły matkę. Trzeba je ratować, ale trzeba wiedzieć, czego im brakuje.

W tym celu jak najszybciej należy skontrolować ul, a można choć w przybliżeniu oznaczyć narazie, co tam jest nie w porządku. Jeżeli nie znajdziemy w plastrach miodu, to dowód, że w tem małem gospodarstwie zapanował głód. Może nawet już część pszczół spadła na dno ula. Gdyby tak było, należy natychmiast pszczoły zmieść na przetak, wnieść do niezbyt ciepłego pokoju, skropić letnim syropem i nakryć organtyną. Gdy się pszczoły ogrzeją, spiją syrop i przyjdą do dawnych sił, wówczas należy je z powrotem zsypać do ula, wstawiwszy do niego jedną lub dwie ramki z miodem, a w razie braku miodu z gęstym syropem. Dla rozgrzania ula dobrze jest na jego spód dać rozgrzaną cegłę. O ile jeszcze pszczoły nie spadły, lecz obsiadają plastry, ale brak im miodu, wówczas należy wstawić im plaster lub dwa z miodem, albo z gęstym syropem, ale tak, aby on dotykał kłębu pszczół, gdyż podkarmianie z korytka na nicby się nie przydało, bo pszczoły z powodu zimna pożywienia znieśćby nie były w stanie.

Należy pamiętać, że najwięcej pszczół pada na wiosnę i to wyłącznie z głodu, gdyż nawet największy mróz im nie zaszkodzi, gdy tylko mają co jeść.

Gdybyśmy po niewłaściwym oblocie zauważyli, że w ulu jest miód, a pszczoły nie wracają do niego chętnie, ale obsiadają jego zewnętrzne strony lub daszki, to należy przypuszczać, że brak im matki. Niestety, bezmatka teraz uratować się nie da. Bo choćbyśmy wynaleźli w innym ulu czerw niekryty lub jajeczka i założyli je do ula osieroconego, gdyby nawet pszczoły założyły matecznik i wyhodowały matkę, to i tak nie byłoby z niej żadnej pociechy z powodu braku trutów w pasiece. Podejrzany o osierocenie ul należy więc pozostawić na jakiś czas w spokoju, a gdy nadejdą dni cieplejsze i dokonamy drugiego przeglądu pasieki i stwierdzimy, że w pniu tym niema stanowczo matki, a stwierdzimy to, nie znalazłszy tam czerwiu, wówczas rój taki należy połączyć z rojem słabym, mającym młodą matkę. Dodawanie mu czerwiu na nic się w tym czasie nie przyda.

Jak widzimy więc, początek roku pszczelego szybko się zbliża. Dbały pasiecznik powinien oczekiwać go zupełnie przygotowany na wszelkie możliwości. A więc przedwszystkiem należy wybrać kilka ramek z robotą pszczelą, oczyścić je, aby były w razie potrzeby pod ręką. Następnie, o ile nie posiada plastrów zapasowych z krytym miodem, powinien przynajmniej z 5 kilogramów cukru przygotować sobie gęstego syropu. Niech on tam stoi gdzieś w szafie, czy w spiżarce; nie zepsuje się. Może zajść potrzeba, że trzeba będzie nagle wstawić ramkę z syropem wygłodniałym pszczołom. Na gotowanie syropu nie byłoby czasu, ale gdy on jest pod ręką, można go szybko pszczołom zadać. Gdyby okazało się to niepotrzebne, rozcieńczymy go później przegotowaną wodą i będziemy dawali pszczołom w małych dawkach, aby pobudzić matkę do czerwienia. Za każdy kilogram cukru, podany pszczołom z wiosną, oddadzą one nam 10 i więcej kilogramów miodu. Nie żałować, nie skąpić, gdyż one odpłacają się po lichwiarsku.

Poradnik lekarski.

Zapalenie otrzewnej (błony brzusznej). Przyczyny: zaziębienie, uderzenie, zranienie lub przenosi się z innych organów brzusznych, najczęściej żołądka, wątroby i t. d.

Objawy: Silne bóle, dreszcze, gorączka, zatwardzenie, wzdęcie brzucha, wymioty.

Leczenie: Djeta mleczna, kleik, soki owocowe, woda białkowa. Ciepłe okłady z odwaru ślazu, niekiedy, zwłaszcza w wysokiej gorączce, okłady zimne.

Otyłość. Otyli powinni ograniczyć ilość pokarmów, zwłaszcza płynów, tłuszczów, unikać potraw korzennych, słonych, używać ruchu, jeździć konno, pracować fizycznie, kąpać się, nacierać ciało chłodną wodą, wieczerzy nie jeść.

Ogólne osłabienie. Leczenie: Pszenne lub żytnie otręby gotuje się przez ¾ godziny w wodzie, wyciska się, dodaje się miodu i gotuje się przez ¼ godziny i spożywa się 2 razy dziennie po szklance. Skuteczne są również sproszkowane kości, które zażywa się 2 razy dziennie, na koniec noża, lub kreda w tej samej ilości.

KRONIKA.

Od Administracji. Z powodu późnego doręczania „Roli" w niektórych gminach i licznych zapytań Prenumeratorów, zawiadamiamy, że „Rolę" wysyłamy we czwartki, a jeżeli się zdarza, że ją prenumerator otrzymuje po niedzieli w poniedziałki, wtorki a nawet środy, to niechże upomni przedewszystkiem naczelnika gminy. Jeżeli upomnienie nie poskutkuje, to niech nam napisze, kiedy „Rolę" otrzymuje i w jakim stanie, a na takiego naczelnika gminy wniesiemy skargę do odnośnego starostwa, które porządek w doręczaniu „Roli" z pewnością zaprowadzi, pouczając przy tem takiego wójta w odpowiedni sposób o poszanowaniu cudzej własności.

Katastrofa kolejowa w Krakowie. W ubiegłą sobotę o godzinie 5 30 rano na stacji w Krakowie zderzyły się dwa pociągi pospieszne, a mianowicie idący z Warszawy do Krakowa i bukareszteński, który co tylko opuścił dworzec osobowy. Skutki zderzenia były straszne; obydwie lokomotywy wbiły się w siebie, przyprawiając o śmierć obydwóch maszynistów i palaczy. W katastrofie znalazło śmierć 4 osoby, zaś 6 zostało ciężko rannych. Lżej rannych było 11 osób. Winę tej tragedji ponosi urzędnik ruchu, który wypuścił pociąg bukareszteński na ten sam tor, po którym jechał pociąg z Warszawy.

Złożenie mandatów poselskich. Posłowie: prof. Krzyżanowski, Lechcicki, I. Nowak i b. minister Kwiatkowski złożyli mandaty poselskie do Sejmu.

Mundury dla urzędników. Projekt wprowadzenia mundurów dla urzędników został już zaaprobowany przez ministerstwo spraw wewn. i będzie przesłany Radzie ministrów do zatwierdzenia. Według projektu mundury mają być koloru granatowego. Czapka jest kroju policyjnego z wypustką amarantową ze srebrnym paskiem i krótkim daszkiem. Bluza kroju marynarskiego z dwoma rzędami guzików srebrnych. Na kołnierzu umieszczone będą patki koloru amarantowego z odpowiedniemi naszyciami i srebrnym galonem stosownie do rangi i stopnia służbowego. Takie same naszywki będą umieszczone na rękawach. Granatowe spodnie będą miały wypustkę amarantową. Przepisany jest biały kołnierzyk i czarny krawat. Równocześnie projektodawcy mundurów dla urzędników administracji mają zamiar wprowadzić mundur galowy, a to przedewszystkiem dla wyższych urzędników, jak wojewodów, wicewojewodów, naczelników oddziałów i t. d. Według projektu mundur galowy polski podobny ma być do galowego munduru marynarki. Stosownie do rangi i sprawowanych funkcyj nakrycie głowy tak zwany piróg będzie ozdobiony strusiemi piórami. Dla wszystkich urzędników przepisana będzie do noszenia przy czynnościach służbowych na zewnątrz szpada.

Agitacja kolonizacyjna. Donoszą nam z powiatu żywieckiego. Od jakiegoś czasu uwijają się po powiatach górskich ajenci i nakłaniają małorolnych do kolonizacji w Brazylji, do Peru i zachwalają ten raj, jak mogą. Jednak górale nie tak łatwo im wierzą, bo tylokrotnie czytają po dziennikach o tym raju, do którego, jak pisze prof. uniw. Dr. Siemiradzki, niema drogi. W naszym powiecie zawiązał się komitet pod przewodnictwem p. Dom. Karłowicza w Żywcu, który zakupił dwa wielkie majątki dla swoich członków. Jak nam wiadomo, z niewielkim kapitałem nabyć można całkiem ładne gospodarstwo. Rząd przyrzekł wielkie udogodnienia dla kolonistów. Majątek jeden zakupiony został we Wschodniej Małopolsce tuż pod miastem powiatowem i niedaleko Lwowa. Dotąd zgłosiło swe przystąpienie blisko 150 gospodarzy, przeważnie z powiatu żywieckiego. Drugi majątek zakupił na Wołyniu także ładnie położony. Jak się informowałem, Komitet przyjmuje jeszcze zgłoszenia do końca lutego, poczem mają wszyscy nabywcy razem wyjechać na nowe gospodarstwa. Ktoby miał ochotę, niech napisze do Komitetu w Żywcu, bo robota jest dobrze zorganizowana, a silna kolonja polska na kresach, to siła Narodu. Szczęść im Boże!

Pożar pensjonatu w Zakopanem. W Zakopanem wybuchł pożar w pensjonacie „Wielkopolanka". Przypadkowy przechodzeń dostrzegł płomienia i począł alarmować śpiących, bijąc w okna i drzwi. Pożar objął cały komplet budynków drewnianych. Mieszkańcy zagrożonych domów wyskakiwali z okien perterowych i pierwszego piętra, siejąc straszną panikę. Na szczęście zdołano wszystkich wyratować z płomieni. „Wielkopolanka" spłonęła doszczętnie, narażając właścicielkę na straty kilkudziesięciu tysięcy złotych.

Zamordowanie karczmarki. Około 11 w nocy dwaj zamaskowani bandyci weszli do restauracji Marty Kramerowej w Koczowie na Śląsku Cieszyńskim, gdzie zażądali wydania pieniędzy. Gdy napadnięta odmówiła ich żądaniu, bandyci uderzyli ją kilkakrotnie tępem narzędziem w głowę, zabijając ją na miejscu. Zarządzono natychmiast pościg policyjny, który doprewadził do ujęcia sprawców to jest Józefa Bukowskiego i Tomasza Paszka. Znalezione przy nich dowody wskazują na to, że są oni prawdopodobnie również sprawcami dokonanego w dniu 31 b. m. morderstwa Jaszczuruka, prezesa narodowego związku powstańców i b. wojskowych w Borowej Wsi. Oba morderstwa miały na celu rabunek.

Ojcobójstwo. Piszą nam z Przemyśla: We czwartek 5 b. m. wieczór rozegrała się w Przemyślu krwawa tragedja. Około godz. 8 i pół wieczór powracał przez most na Sanie do domu ze sklepu kupiec Towarnicki. Nagle przystąpił do niego jego syn, szofer, zamieszkały we Lwowie i strzelił do niego dwukrotnie. Oba strzały trafiły w głowę, jedna kula utkwiła w czaszce, druga przebiła czaszkę na wylot. Następnie morderca strzelił do siebie. Obu rannych przewieziono do szpitala, gdzie Towarnicki ojciec zmarł natychmiast, syn zaś w kilka godzin później. Przyczyną tragedji były nieporozumienia na tle finansowem.

Niefortunny występ komunisty. Do wsi Dmytrowice w powiecie lwowskim przybył agitator komunistyczny Michał Horbela, obecnie bez stałego miejsca zamieszkania, pochodzący z Dmytrowic i rozpoczął wśród ludności agitację komunistyczną, w czasie której rozdawał ulotki. Został on zauważony przez policjanta gminnego, który go aresztował i sprowadził do urzędu gminnego. Na wieść o aresztowaniu agitatora komunistycznego pod budynkiem urzędu gminnego zebrał się tłum kilkudziesięciu chłopów, którzy usiłowali nad aresztowanym dokonać samosądu, utrzymując, że mają dosyć wszelkiej agitacji wywrotowej i chcąc mieć spokój. Dopiero wezwani policjanci usunęli demonstrujących wieśniaków, a aresztowanego komunistę odstawiono do Lwowa.

Pobicie ruskiego księdza przez opryszków. Z Rawy Ruskiej donoszą o zuchwałym występie dwóch wiejskich opryszków, którzy dokonali włamania do cerkwi w gminie Dyniski. W cerkwi tej znajdowały się dwie kasy, jedna cerkiewna, a druga gminna. Obie mieściły się w skrzyniach drewnianych okutych żelazem. Dwaj miejscowi parobcy Semko Nazar i Iwan Burda postanowili obie kasy obrabować i w tym celu w nocy wtargnęli do cerkwi i poczęli drągami rozbijać kasę. W trakcie tej roboty wszedł do zakrystji zbudzony ha-

łasem mieszkający obok proboszcz Skomorowicz, a na jego widok złodzieje poczęli do niego strzelać. Na szczęście strzały chybiły tak, że ks. Skomorowicz ocalał. Po oddaniu strzałów jeden z opryszków zgasił świecę trzymaną przez księdza, poczem kijem uderzył go po rękach, a drugi odtrącił go w bok, poczem obaj zbiegli. Zawiadomiona policja wdrożyła natychmiast dochodzenia i obu sprawców zuchwałego włamania do cerkwi i usiłowanego morderstwa księdza aresztowała.

Trucicielka. W powiecie rudeckim ujawnioną została afera trucicielska, której bohaterką jest kobieta, która w ciągu kilku dni otruła dwie osoby. Oto w Ciszowicach, pow. Rudki, Anna Bregej, żona Hawryły, chcąc pozbawić życia swego męża, podała mu zatrute pierogi z kapustą. Po spożyciu ich Bregej ciężko zaniemógł, a przywieziony do szpitala powszechnego we Lwowie, w trzy dni później zmarł. Następnego dnia po śmierci męża Bregejowa znowu dała zatrutą kapustę do zjedzenia Annie Andruchow z Romanówki, pow. Rudki, która również zachorowała i odwieziona została do szpitala. Wobec zupełnie tych samych objawów choroby wdrożone zostały dochodzenia, które doprowadziły do ujęcia trucicielki.

Wielkie włamanie w Drohobyczu. W Drohobyczu dokonano wielkiego włamania do szynku Weinfelda, mieszczącego się przy zbiegu ulic Żupnej i Florjańskiej. Sprawców cechowała wielka śmiałość, albowiem do wnętrza szynku dostali się przez frontowe drzwi, które otworzyli podrobionemi kluczami. Pod dom zaś zajechali furą. Szynkownię sprawcy splondrowali doszczętnie, zabierając stamtąd trunki alkoholowe i inne przedmioty, oraz z znajdującej się w szynku trafiki wyroby tytoniowe. Cały łup wartości blisko 3.000 złotych umieścili w wozie, poczem odjechali w nieznanym kierunku. Nie cieszyli się jednak długo wolnością, gdyż już nazajutrz, w wyniku przeprowadzonych dochodzeń policyjnych, zostali ujęci. Sprawcami okazali się dwaj wytrawni włamywacze, kilkakrotnie już karani, mianowicie Ilko Gryndziak i Wiktor Salo false Winnicki. Po ukończeniu dochodzeń policyjnych obaj zostaną odstawieni do sądu.

Śmiertelny pościg. W pociągu zdążającym z Warszawy do Mińska Mazowieckiego posterunkowy przyłapał jakiegoś złodzieja w chwili, gdy ten usiłował wraz ze skradzioną walizą wyskoczyć z pociągu. Złodziej, dostawszy się w ręce policjanta, nie zaniechał prób oswobodzenia się. Rzuciwszy walizkę na podłogę, potrącił posterunkowego i nie bacząc na pełny bieg pociągu, wyskoczył z niego. Posterunkowy poszedł w ślad za nim i rozpoczęła się gonitwa. Pociąg pozostawił obu daleko poza sobą. Gdy złodziej mimo kilkakrotnych wezwań nie zatrzymał się, posterunkowy oddał kilka strzałów za uciekającym, kładąc go trupem na miejscu. Zabity nazywał się Józef Krajner i liczył lat 38.

Straszny czyn szaleńca. W pobliżu zaścianka Kurlaniszki w powiecie święciańskim niejaki Antoni Tradziewicz, wracając z lasu do domu, spostrzegł, że jakiś osobnik próbuje się powiesić na jednem z drzew. Tradziewiczowi udało się desperata uratować. Wyratowanym był niejaki Paweł Antonow, chory umysłowo, który w przystępie szału rzucił się na Tradziewicza, zarzucił mu pętlę na szyję i zaczął go dusić, a następnie próbował go powiesić. W czasie tej sceny nadszedł leśniczy, który obezwładnił szaleńca, jednak Tradziewicza zastał już dogorywającego.

Okropny czyn obłąkanej kobiety. W budynkach miejskich za rogatkami Wiednia, mieszkała emigrancka rodzina Płacheckich, która w pierwszym roku wojny światowej uciekła z Tarnopola do Wiednia. Przed kilku miesiącami Alojza Płachecka, licząca obecnie 42 lat, dostała pierwszego ataku szału i na zlecenie lekarzy oddano ją pod obserwację na oddział psychjatryczny wiedeńskiej kliniki. Mąż Płacheckiej, Franciszek, zjawił się przed tygodniem na klinice i prosił, czy nie mógłby żony zabrać do domu, ponieważ ich piętnastoletnia córka pozostaje bez opieki, on bowiem za zarobkiem zmuszony jest jako ajent, do częstych wyjazdów. Alojzę Płachecką wypuszczono z kliniki za rewersem, na wyraźne życzenie i odpowiedzialność rodziny. Onegdaj przyszło do strasznej katastrofy w mieszkaniu Płacheckich. Alojza Płachecka dostała znowu ataku szału. Pod wieczór uspokoiła się wprawdzie i rodzina ułożyła się do spoczynku, lecz nagle w nocy Alojza opuściła łóżko i udała się do kuchni. Tu na tapczanie spała jej 15 letnia córka. Szalona kobieta pochwyciła leżącą przy piecu siekierę i kilku uderzeniami w głowę zadała córce głębokie rany. Na krzyk rozbudzonego dziewczęcia wbiegł Franciszek Płachecki. Alojza rzuciła się na niego z siekierą i uderzyła go w głowę tak silnie, że zbroczony krwią, runął nieprzytomny na podłogę. Nie troszcząc się więcej o córkę i męża, wróciła Alojza do pokoju i tutaj przecięła sobie brzytwą żyły u rąk. Zwabieni krzykiem sąsiedzi zdołali się wreszcie dostać do mieszkania Płacheckich i zastali całą rodzinę w kałuży krwi. O godzinie 1 w nocy przybyła karetka pogotowia ratunkowego i zabrała rannych na klinikę. Stan Franciszka Płacheckiego i jego córki jest beznadziejny. Alojza Płachecka, jak się zdaje, zostanie przy życiu.

Polowanie na lwy w mieście. Do pewnego włoskiego miasteczka przybył cyrk wędrowny wraz z menażerją. W czasie wolnym od przedstawienia, najprawdopodobniej z powodu nieuwagi służby, z klatki zdołały wymknąć się dwa wspaniałe lwy, które następnie wydostały się przed budę cyrkową.



Tu zobaczywszy konie, zaprzężone do wozu cyrkowego, rzuciły się na nie i w okamgnieniu je zagryzły. Zbudzona ze snu służba cyrkowa z trudem zdołała jednego drapieżnika zapędzić z powrotem do klatki, zaś drugi powędrował na ulicę, szerząc postrach i przerażenie wśród ludności. Nadbiegła policja położyła kres swobodzie drapieżnika, ubijając go strzałami.

Dobrowolny pokutnik. W Sofji przebywa od szeregu lat były spowiednik i duchowny powiernik rodziny carskiej, arcybiskup prawosławny Teofan, który w swoim czasie wprowadził na dwór carski Rasputina. Chociaż dość wcześnie spostrzegł swą omyłkę i zabiegał usilnie u dworu o odsunięcie Rasputina, za co nawet ukarany został przeniesieniem z Petersburga do Połtawy, uważa się arcybiskup Teofan w dalszym ciągu za moralnego sprawcę nieszczęść Rosji i za to prze-

winienie sam na siebie nałożył ciężką pokutę. Wyemigrowawszy po rewolucji wraz z wojskami gen. Wrangla najpierw do Konstantynopola, później do Sofji, zrzekł się wszelkich ofiarowanych mu godności i pędzi żywot w dobrowolnem opuszczeniu, w skrajnej nędzy, zamieszkując pozbawioną jakichkolwiek sprzętów izdebkę na poddaszu. Codzień widzieć go można modlącego się żarliwie w sofijskim soborze Aleksandra Newskiego w starem zniszczonem ubraniu. Noce spędza u siebie, na poddaszu, opasany łańcuchami, które wżerają mu się w ciało. Jada rzadko i tylko tyle, by utrzymać się przy życiu. Gnębi go ponadto bardzo zaawansowana choroba raka. Nie rozmawia z nikim, nikt też dłuższy czas nie wiedział, że ta ruina człowieka, to niedawno jeszcze jeden z najwpływowszych mężów carskiej Rosji. Tajemnicę tę poznano dopiero niedawno.

Stracenie 28 derwiszów. Tureccy derwisze w mieście Menemen przygotowywali spisek przeciw rządowi tureckiemu, chcąc go obalić i zaprowadzić inne rządy w Turcji. W mieście tem przyszło nawet do otwartego buntu, który jednak rząd turecki krwawo stłumił, a przywódców ujął i osadził w więzieniu. Wskutek wytoczonego im procesu 28 derwiszów zostało skazanych na śmierć a wyrok wykonano w ubiegłą środę. Wielu skazańców spędziło noc na modłach. Z brzaskiem dnia skazańcy zostali zaprowadzeni przez żołnierzy na miejsce stracenia. Byli oni ubrani w białe koszule śmiertelne. Po dokonaniu wyroku zawieszono każdemu z nich na szyji plakat, w którym powiedziane jest, że straceńcy popełnili zbrodnię wobec państwa. Kilku z nich, szczególnie młodszych, zemdlało po drodze, wielu pościło w ciągu całego dnia poprzedniego, odmawiając przyjęcia nawet wody, inni modlili się pod szubienicą według swoich obrządków i pozwolili założyć sobie pętlicę z całym spokojem, inni wreszcie zapewniali do ostatniej chwili, że są niewinni. A może być, że niektórzy z nich byli nawet niewinni, choć wszystko świadczyło przeciw nim. Sąd wyszedł jednak z założenia, że lepiej jest, aby zginęła jednostka, choćby nawet niewinna, jakby miały ginąć setki a może i tysiące osób wrazie wojny domowej. Może być, że straceni śmiercią swą okupili spokój swej ojczyzny.

Żona zakładniczką męża. Rząd sowiecki w swoim czasie aresztował pod zarzutem szpiegostwa ekonomicznego inżyniera sowieckiego, Rossela. Po kilkumiesięcznem trzymaniu w lochach czerezwyczajki, Rossela postanowiono wypuścić na wolność i wysiedlić z granic Rosji. Czerezwyczajka jednak, w obawie przed wynurzeniami Rossela zagranicą, postanowiła zatrzymać w Rosji jako zakładniczkę jego żonę z tem, że uzyska ona możność wyjazdu zagranicę za pół roku, o ile jej mąż będzie przez ten czas dyskretnie milczał. Rossel jest już obecnie w swej ojczyźnie i oczywiście milczy, aby nie zaszkodzić swej małżonce.

Śmierć wielkiego wynalazcy. W jednym ze szpitali Londynu zmarł w tych dniach 90 letni robotnik Winterbord, który przed 50 laty wynalazł koło pędowe dla rowerów motorowych. Wynalazek jego przyniósł przemysłowcom miljonowe zyski. Winterbord sprzedał swe dzieło właścicielowi małego warsztatu mechanicznego za 80 funtów, który założył w niedługim czasie wielkie towarzystwo akcyjne Sam jednak wynalazca ubiegał się darmo o pracę, aż wreszcie zmarł w przytułku dla ubogich. W Londynie powstał komitet dla uczczenia jego pamięci i budowy pomnika tego wielkiego wynalazcy-nędzarza. I znów sprawdza się to wiekopomne powiedzenie: „Po śmierci kadzą, za życia jeść nie dadzą!“, które można zastosować do wielu, wielu wielkich ludzi.

Żywa lalka. Pewien bogaty 45 letni przemysłowiec w Paryżu nazwiskiem Ksawery Didier ma młodziutką i bardzo piękną żonę... Jest o nią ogromnie zazdrosny i śledzi ją na każdym kroku. Piękn Luiza łaknie jednak miłości. Na balu poznaje ona jednak młodego i przystojnego aktora, Alfreda Lebrun, który odrazu zdobył jej serce... Młodzi jednak nie mogą się widywać, gdyż przemysłowiec nie daje swej żonie ani chwileczki swobody.. Wówczas aktor wpada na niezwykły pomysł. Namawia Luizę, aby kazała sporządzić dużą lalkę męską naturalnej wielkości. Gdy ta lalka znajdzie się w mieszkaniu p. Didier, aktor będzie mógł w przebraniu lalki dostawać się cichaczem do mieszkania swej ubóstwianej. Pani Luiza pomysł ten wprowadziła w czyn. Kiedy mąż oddalił się z domu, pani Luiza chowała martwą lalkę do szafy, a pozwalała zjawiać się żywej. Najęta specjalnie do pilnowania młodej kobiety służba dała się wziąć na ten „kawał“ i zupełnie nie orjentowała się w sytuacji Pewnego razu przybył niespodzianie do domu przemysłowiec. Aktor stanął czemprędzej w szafie, przeznaczonej na lalkę i przybrał nieruchomą pozycję. Fabrykant niczego nie zauważył i nie rzuciwszy nawet okiem na aktora, wyszedł po chwili z pokoju wraz z żoną, która czemprędzej go stamtąd wywabiła. Aktor chciał już „ożyć“, gdy wtem wszedł służący. Ten zbliżył się do lalki, podziwiając jej naturalny wygląd. Ale wówczas stało się coś okropnego!... Aktor nagle kichnął... Służący uciekł przerażony, lecz natychmiast zawiadomił o tem pana. Ten pełen podejrzeń, pośpieszył do pokoju i przybył właśnie w chwili, gdy „lalka“ wyskakiwała oknem... Sprawa się wydała, a oburzony do najwyższego stopnia przemysłowiec wszczął przeciw żonie kroki rozwodowe. Niebawem historja ta rozeszła się po Paryżu, który jest nią szczerze ubawiony.

Straszne trzęsienie ziemi. Wyspę Nową Zelandję nawiedziło w ubiegłym tygodniu straszne trzęsienie ziemi. Liczby ofiar ani w przybliżeniu oznaczyć się nie da, gdyż dużo zabitych znajduje się pod gruzami domów. Jak przypuszczają, dojdzie ona do 1.000 osób, a dwa razy tyle rannych. Port Napier zniknął niemal zupełnie z powierzchni ziemi; ani jeden budynek nie pozostał cały. Nad gruzami pewnej szkoły, pod którymi pozostały przysypane dzieci, pochodzące przeważnie z prowincji, rozgrywały się wstrząsające sceny. Matki i ojcowie poprzyjeżdżali szukać swych dzieci, niestety bezskutecznie. Rozpacz pozostałych przy życiu jest ogromna.

Krwawa zemsta przemytników. Policja amerykańska przy rewizji pewnego podejrzanego jako schronisko „bootlegerów“. domu na Brooklinie odnalazła ukryte w piwnicy zwłoki dobrze znanego w Nowym Jorku boksera nazwiskiem Lopresti, znajdujące się już w stanie rozkładu. Znaleziono na nich kilkanaście ran zadanych nożem, przytem miał wykłute oczy i oberżnięty język. Najprawdopodobniej morderstwo było aktem zemsty ze strony przemytników alkoholu, których z bokserem łączyły czas jakiś zażyłe stosunki, a których potem zdradził. Wszelkie poszukiwania policji za mordercami okazały się bezskuteczne.

Oszczędna żona. Otto E. Sandberg w Omaha, Neb., wiedział o tem, że żona jest oszczędną, ale chociaż żyli ze sobą dwadzieścia ośm lat, nie miał pojęcia, jak daleko ta jej oszczędność była posuniętą. Dopiero gdy przed miesiącem żona mu umarła, po otwarciu testamentu dowiedział się Sandberg ze zdumieniem, że pozostawiła mu ona 19 000 dolarów złożonych w banku w gotówce, oraz również poważniejszą sumę w rozmaitych papierach wartościowych.

RZECZY CIEKAWE.

Miesiąc luty w przysłowiach ludowych.

W naszym klimacie miesiąc luty należy do najostrzejszych miesięcy zimowych. Starosłowiańska nazwa tego miesiąca dowodzi już, że zawsze był to okres mroźny i ostry. Bywają wypadki, że zima niestała i łagodna w grudniu, a nawet w styczniu, sroży się dopiero w lutym i biada temu, kto zawczasu nie zaopatrzył się w opał, ciepłe odzienie i mocne buty. Dlatego też mówi przysłowie: „Spyta luty, masz libuty", albo też: „Kiedy luty, obuj buty". W tym roku mieliśmy również łagodny grudzień i styczeń. I dlatego też, w myśl odwiecznych obserwacyj ludowych, miesiąc luty może nam przynieść dopiero właściwą zimę.

Miesiąc ten, jak każdy inny, posiada różne przysłowia i przepowiednie ludowe, odnoszące się przeważnie do pogody. Naprzykład z pogody w dniu święta Matki Boskiej Gromnicznej prorokują po wsiach o reszcie zimy.

„Gdy w Gromnice z dachów ciecze — zima się jeszcze przewlecze".

Dnia 5 lutego obchodzi Kościół uroczystość św. Agaty. Lud wierzący powiada w tym dniu: „Sól świętej Agaty — broni od ognia chaty".

Następnego dnia jest znów inne przysłowie, dotyczące św. Doroty: „Po świętej Dorocie — uschną chusty na płocie". Albo też: „Wedle świętej Doroty — naprawiaj człecze płoty".

Na dzień 10 lutego jest znów inna przepowiednia: „Scholastyka mróz utyka, a nim Walek nam zaświeci — obaczymy, mróz kark skręci".

Dnia 14 lutego przypada św. Walentego i lud powiada znowu: „Napisał święty Walek, że niema pod lodem balek". Albo też: „Święty Walenty, gdy odmrozi pięty — na wyżywienie sprzedawaj sprzęty". Na świętego Walentego prorokowano też o pogodzie innemi słowy: „Gdy na Walka są deszcze — będzie duży mróz jeszcze".

Dnia 19 lutego na św. Krystynę mówiono: „Na świętą Krystynę — trza mieć jeszcze dobrą pierzynę".

Popularny po wsiach św. Maciej, 24 lutego, jest również wyrocznią, kiedy się skończy zima: „Święty Maciej zimę traci, albo ją bogaci". Inne przysłowie powiada: „Gdy św. Maciej lodu nie stopi, będą jeszcze chuchali długo w ręce chłopi".

W dawnej Polsce w miesiącu lutym dziki zwierz zwykł się zbierać stadami. Jeżeli koniec tego miesiąca zwiastował wiosnę, odzywał się skowronek, kos zaczynał śpiewać, a sroki i wrony sposobiły się na gniazda. Czasami nawet zakwitła leszczyna. Wczesna wiosna najczęściej była jednak zwodniczą. Kiedy z końcem lutego była już wiosenna pogoda, to w marcu śniegi, zamiecie i mrozy wracały z powrotem. Jest to podobno prawidłem, rzadko kiedy zawodzącem.

Miłość jako środek leczniczy.

Angielski psycholog, January Mortimer, ogłosił niedawno drukiem pracę, która wywołała wielkie poruszenie w całej Anglji.

Podaje on w niej, iż miłość stanowi środek leczniczy i założenie to umacnia naukowo, na co już wielu lekarzy zwracało uwagę, podnosząc, że miłość zdolna jest znakomicie poprawić ogólny stan kobiet wątłych i delikatnych. A nawet spostrzegano przypadki, w których ujawniono dodatni wpływ miłości na poważne choroby w tem znaczeniu, że miłość powodowała uczucie szczęścia. Duma i radość wypływające z uczucia, że jest kochaną, wzmacnia siły każdej młodej kobiety zarówno fizyczne, jak i duchowe.

Trzeba tylko żałować, że tego cudownego środka leczniczego, mimo zapisania go przez lekarza, w żadnej aptece dostać nie można.

Największe zwierzę świata.

Niedawno odnaleziono w pokładach skalnych w Stanie Wyoming szkielet największego zwierzęcia, jakie kiedykolwiek na świecie istniało. Jest to szkielet brontosaurusa, gada od tysięcy lat wymarłego. — Słowo „brontosaurus" składa się właśnie z dwu wyrazów: „Bronte", co oznacza grzmot i „saurus" — jaszczurka. Brontosaurus był tak potężny, że kiedy stąpał, ziemia drżała, a głos jego rozchodził się na kilka mil w średnicy, miał około 27 i pół metrów długości, ważył prawdopodobnie 108 tysięcy funtów. — Waga niedawno odnalezionego skamieniałego szkieletu wynosi 36.000 funtów. Kości brontosaurusa są takie ciężkie, że człowiek nie może dźwignąć najmniejszej nawet kostki. O rozmiarach potwornego tego kolosu świadczy okoliczność, że w tułowiu jego zmieścić się może wygodnie 40 osób.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Wojciech Płoskonka** w G.: Ule zapuścić oliwą można. Jeżeli pszczoły w zimie wylatują z ula pomimo ochrony od słońca, to mogą być tego dwa powody: albo zbyt ciepło wewnątrz ula, albo brak wody w ulu, albo wreszcie jeden i drugi. Gdy jest w ulu ciepło, a matka młoda, to zaczyna ona wczas czerwić. Do wyhodowania czerwiu potrzebują pszczoły dużo wody, a nie mając jej, wypryskują z ula. Trzeba im więc tej wody poddać przez włożenie w oczko dobrze mokrej gąbki, albo namaczanego mchu w letniej wodzie, ale tak, aby oczka zupełnie nie zatkać i nie zatamować przypływu powietrza. Pszczoły wodę spiją i nie będą jej szukać na polu. Gdyby powodem było zbyt ciepło w ulu, to dobrze na chwileczkę zatworu uchylić, aby się nieco oziębiło. Gdyby miał Pan próżną zupełnie piwnicę, dobrzeby było wstawić pszczoły do ciemnej piwnicy, choćby do połowy marca. Zresztą tak na odległość trudno coś stanowczego powiedzieć. — **Obserwator:** „Rolę" czytają najrozmaitsi ludzie, musimy więc zamieszczać takie artykuły, aby każdy coś dla siebie znalazł. Co do polityki, to odpowiedź na Pański list musiałaby być polityczna; musielibyśmy Panu wykazać, że grubo się Pan myli w swoich sądach, trzymając się twierdzeń gazet politycznych. Naszem pragnieniem pod względem politycznym jest, aby w kraju był ład i porządek, aby każdy wypełniał swe obowiązki, aby prawo chroniło nie jednostki, nie jakieś partje i partyjki, ale całe społeczeństwo. Jeżeli policjanci nabili owych chłopców, to rodzice, czy opiekunowie powinni byli zaskarżyć owych policjantów do sądu, a sąd ukarałby ich surowo. Bo sądy w politykę się nie bawią, ale wydają wyroki ściśle według przepisów prawnych. — **Staszek z B.:** Humoreska bez humoru; nie zamieścimy. — **W. Onuszkiewicz** w B.: To, przeciw czemu Pan występuje, właśnie podtrzymuje poczytność „Roli". Nie możemy więc zadość uczynić Pańskiemu życzeniu, zwłaszcza że przemawia przez Pana pewnego rodzaju przeczulenie. — **Rom-Ort** z W.: Ani „Burza", ani „Tęsknota" nie nadają się do druku. Są to drobiazgi bez znaczenia, a przytem słabo napisane. W "Burzy" w każdem słowie przynajmniej jeden błąd ortograficzny. — **August Wasylecki** w T.: Wierszyk „W zimowy wieczór" pod względem formy poprawnie napisany, znaczy to więc, że formę już Pan zaczyna opanowywać. — **Czytelnikowi „Roli":** Obrazek p. t. „Przeklęty" dobrze napisany, przeznaczamy go więc do druku. — **J. Cichoń** w P.: O tem, jakoby inwalidzi byli zwolnieni od opłaty radjowej, nic nam nie wiadomo. W sprawie gardła najlepiejby się było udać do lekarza specjalisty w Krakowie. Bez dokładnego zbadania nic nie można poradzić. — **Jan Wisłocki** w D.: Sztuczna węza jest to sam środek plastra sztucznie wyciśnięty z czystego wosku. Wstawienie jej do ramek i podanie pszczołom ułatwia im ogromnie pracę; nie tracą czasu na robienie całego plastra, ale tylko wykańczają ową węzę, a natomiast znoszą miód do ula. Badacze przyrody pszczół twierdzą, że zanim pszczoły zrobią 1 kilogram woszczyny, potrafią za

ten czas znieść kilkanaście kilogramów miodu. Kupno więc węzy nadzwyczaj się opłacą. — **Józef Foryś**: „Zapusty“ przyszły o dwa dni zapóźno, a szkoda, gdyż byłyby dobre do obrazka na 5 stronie. Wiersz „Kujmy pancerz“ zupełnie dobry; inne dwa słabsze. „Kolloseum“ w miarę miejsca wydrukujemy. — **Maryśka z Kamionki**: Nareszcie Marysiu odezwałaś się przecie! A już Czytelnicy „Roli“ dopytywali się, co się z Tobą dzieje? „Czerwony kwiat“ tak... cóż znaczy czerwony kwiat, choćby zabarwiony krwią własnego serca, wobec złota i banknotów. Smutne to, ale wydrukujemy, bo, niestety, prawdziwe. Łączymy dla wszystkich serdeczne pozdrowienia. — **Jan Berchowski** w Cz.: Cieszy nas tak miłe dla nas uznanie dla „Roli“. Tym, którzy mają na tyle pieniędzy, aby sobie mogli „Rolę“ zaprenumerować, najlepiej jej nie pożyczać. — **Wawrzek Miesiączek** w L.: Zagadki otrzymaliśmy i przeznaczamy je do druku. — **Józef Karetta** w S.: Wszystko wygląda bardzo ładnie, ale napozór tylko, bo skądże ten człowiek weźmie 460 zł.; najpierw do kasy włożyć, aby później otrzymał 2.000 zł., jeżeli niema 46 zł.? Zresztą trzeba przeczytać statut, bo na prospekcie polegać nie można. — **W. Gliwa** w D.: Jeżeli się tylko dowiemy, że ktoś ma do sprzedania, to Panu doniesiemy. A możeby Pan ogłosił w „Roli“? — **Jan Bassara** w P.: Niech się Pan wystara o poświadczenie z gminy, że dom Pański spłonął, to ogłosimy. — **J. Bernatowa** w Z.: „Rola“ zapłacona do końca czerwca b. r. — **Stanisław Dybał** w W.: Państwowe warsztaty kolejowe są w Nowym Sączu, Tarnowie, czy są w Chrzanowie, nie wiemy. Uczniów przyjmują tylko powyższe zakłady do niektórych działów (warsztatów). — **M. Wawrzkówna** w P.: Pod wskazanym adresem numera z czekiem posłaliśmy — dziękujemy. — **Jan Laszczak** w P.: Wyraźnie jest w ogłoszeniu, że ogłaszający potrzebuje tej pożyczki 2000 zł., a niema wzmianki przecież, że chce ją ulokować, to jest pożyczyć taką kwotę. — **Antoni Świstek** w O.: Naprawdę, gdyby każdy prenumerator o podobne drobiazgi zapytywał, tobyśmy nic nie mogli robić, ale od rana do nocy nie związane z Administracją „Roli“ interesa prenumeratorów załatwiać. Czyż to nie wystarcza, żeśmy podali, iż dolar 5 października 1922 r. kosztował 9.000 marek, jeszcze Pan pyta, ile ma dać ów wierzyciel spłatu kontraktowego w tym czasie zmarłego? Nic nie ma dać, a jeżeli Panu policzy owe 350.000 marek po kursie dolara i wypłaci, to niechże Pan nie zapomni ładnie podziękować. Ludzie potracili dużo więcej pieniędzy, pożyczając czy to na skrypta dłużne, hipoteki, pożyczki państwowe, weksle i t. p., a nikt nie może nikogo zmusić, aby równowartość kapitału dziś otrzymał. — **Burejza Karol** w J.: O to nasienie niech się Pan zapyta firmy **E. Freege**, Kraków, ul. Lubicz; załączyć znaczek na odpowiedź. Pod wskazanym adresem „Rolę“ z czekiem wysłaliśmy. Dziękujemy. —

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył L. Wołek z Rz.)

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆	Rzeka w Rosji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆	Miejsce w Polsce dwu bitw 1831
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆	Góry na wyż Irańskiej
■ ☆ ☆ ☆ ☆	Brat założyciela Rzymu
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆	Rzeka m. Bałtyckiego.
■ ☆ ☆ ☆ ☆	Dopływ Dunaju.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆	Hist. miasto nad Dniestrem.
■ ☆ ☆ ☆ ☆	Kraj w Afryce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆	Wieś walk 1831 r.
■ ☆ ☆ ☆ ☆	Dopływ Dniestru.
■ ☆ ☆ ☆ ☆	Dopływ Cisy.
■ ☆ ☆ ☆ ☆	Miasto w Polsce.
■ ☆ ☆ ☆ ☆	Dopływ Dniestru.
■ ☆ ☆ ☆ ☆	Góry w Polsce wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆	Hetman kozacki wst.
■ ☆ ☆ ☆ ☆	Imię żeńskie
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆	Miasto nad Strwiążem
■ ☆ ☆ ☆ ☆	Wyspa na m. Śródz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆	Rzeka w Azji.

Początkowe litery, czytane z góry na dół, dadzą nazwiska dwóch wodzów w powstaniu listopadowem 1831 r.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R. .

Siedzi Maciuś w domu jak za piecem [w niebie,
Wtem wchodzi Kasiunia: „Ktoś przyszedł [do ciebie,
Mówi: drugie pierwsze już od pół godziny,
Zaprosże go wreszcie Maciusiu jedyny!
Po odejściu gościa obiad Kasia daje,
Lecz że tylko całość, więc ją Maciuś łaje:
Cóż ty sobie myślisz do licha ciężkiego,
Czym u ciebie nie wart obiadu lepszego?
Kasia się wykręca jako tylko może,
Mówiąc, że nic więcej niema już w komorze,
Kupić niema za co. Ach! ta nędza ciocia
Sprawiła, że nasza kieszeń dzisiaj druga [trzecia;
Pierwsze trzecie ludzie rozmaite tworzą!
Zaś pod całość wieśniacy dobrze grunt [nawożą.

II.

(Ułożył Józef Górecki z K.).

Pierwszą tytuł księcia oznaczysz,
Drugą zaś i trzecią w klasztorze zobaczysz.
Nad całością się nie będę zabawiał,
Powiem tylko tyle, że to ziemi kawał.

III.

Pierwsze drugie święto macie,
Trzecim zwierzę nazywacia.
Całość imię męskie znane,
Bardzo rzadko używane.

3. Łamigłówka do uzupełnienia.

(Ułożył. Fr. Kawczak z O.

M	A				
	M	A			
		M	A		
			M	A	
				M	A

W puste kratki rządków poziomych wpisać litery, aby utworzyły pięć wyrazów o podanem poniżej znaczeniu:

Znaczenie wyrazów: 1) Artysta. 2) Nieboszczyk 3) Narzędzie wojenne. 4) Skorupiak. 5) Kraj w Ameryce środ.

Znaczenie zagadek z Nru 5 „Roli“: 1. Logogryf: Kowalczyk-Bassara. 2. Szarady: I. Lokomotywa. II. Pierogi.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 20 bm.

3. Łamigłówka do uzupełnienia: Parada-aparat-zapasy-Dorpat-Europa.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Jan Struś z K., Karol Syposz z R., Stanisław Skwarek z J., Wojciech Szczygieł z G., Zygmunt Bauer z Ł., Jan Smaza z Z., Stefan Dudek z N., Zygmunt Warchoł z T., Tow. „Ojczyzna“ z M. K., Józef Morawa z R., Stanisław Bryzki z Ł., Franciszek Kawczak z O., L. Kuboszek z D., C. Borek z K., Franciszek Gabzdyl z M. K., Wł. Sowiźrał z J., Marja Żelazowska z T, Samuel Wind z Cz., Kazimierz Strusiewicz z K P., Danilo Dokic z K., Józef Staniek z Z., Władysław Gąsienica z Z.. Leon Franusiewicz z Z., W. Buraczek z G.. E. Gorczyca z S., Franciszek Zieliński z Z.. Józef Maśka z Z., Franciszek Wojnas z Ch., Kazimierz Wojnas z K., Stanisław Gryzełko z B., Ludwik Pająkowski z S., Marja Woźniakiewicz z G., Emiljan Herman z B., Stefanja Dzierwówna z B., Jan Gara z W., Mieczysław Świętoniowski z M., Józef Karetta z S., Szymon Masny z P., Mieczysław Lachor z P., Ks. Stanisław Smagacz z D., Jan Stypa z J., Karol Oblak z U., Michał Prypeć z G., Kazimiera Puchalska z H., Janina Miroszówna z B., Ks. Jan Słowik z T., Baśka Biborzanka z I., Irena Kozikówna z G., Michał Preclik z H., Karolina Minówna z G., Ks. Izydor Malinowski z U., Jacek Obryzdowski z J., Kazimiera Kochankówna z R., Stefanja Opolska z T., Bronisława Milska z N., Marja Malicka z W. C., Czesław Wandurski z P., Jan Slawik z O., Misia Olechowska z N., Karol Knapik z U., Józef Sokołowski z L., Jan Nycz z T., Stefanja Papla z B., Antoni Nycz z B., Stanisław Papla z B.. Jan Dzień z Szcz., Leopold Wołek z Rz., Józef Gabzdyl z M., Józef Cieplik z K., Marja Knapik z T.. Józef Kopacz z S., Józef Kiljan z Cz., Piotr Glica z S. G., Franciszek Raszyk z Ł., Tadeusz Frączek z R., J. Cichoń z P., Hela Bandułówna z M., Józef Gasiński z B., Feliks Popielarczyk z S., Michał Więcław z N., Piotr Tylec z K., Anna Żebrok z B., Aleksander Nikliborc z G., Adam Wiecheć z Z., Wincenty Kula z M. K., Jan Kierepka z T., Piotr Nowak z Ż., Eugenjusz Zdun z K., Józef Kołatek z S., I. Sojka z D., Wojciech Gliwa z D., Jędrzej Skoczek z D., Józef Półtorak z K., Wawrzek Miesiączek z L.. Jan Płoskonka z W., Wł. Godon z S., Lulka Smagowicz z K.

Nagrody wylosowali pp.: Eugenjusz Zdun z K. i Stefanja Dzierwówna z B.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Lekarstwo.

— Panie aptekarzu, podobno jest u pana bardzo dobry środek do czyszczenia krwi.

— A co panu brakuje?

— Mnie nic, tylko miałem przygotowaną krew do wyrobu kiszek, a chłopak chlapnął do niej trochę nafty.



Dług.

Proszę pana zwrócić mi mój dług, bo jutro mam zapłacić pilny rachunek.

— No, wie pan, to jest już bezczelność! Dlatego, że pan ma rachunek płacić, to ja mam dać pieniądze?

Giełda płodów rolniczych

z dnia 10 lutego b. r.

Pszenica	21·00—21 50	Słoma długa	5·50—6·00
Żyto .	16·00—16·50	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	20·00—20·50	Koniczyna nasienn. czer.	230·00—250·00
Jęczmień .	19·00—20·00	Mąka żytnia	29·50—30·00
Fasola biała	38·00—42·00	Mąka pszen.	43·00—44·50
Groch zwyk.	27·00—32·00	Otręby pszen.	14·00—14·50
Siano słodk.	11·00—12·00	Otręby żytnie	13·50—14·00
Łubin żółty	37·00—39·(0	Mąka czerw.	16·50—17·00
Konicz pastew.	13·00—14·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 10 lutego b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 0·70 do 1·15 zł.	Jałownik	od 0·75 do 1·15 zł.
Woły . .	od 0·89 do 1·16 zł.	Cielęta .	od 1·06 do 1·62 zł.
Krowy .	od 0·50 do 1·12 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	0 90 do 1·30 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·29 do 1.70

Wszystkich PP. Prenumeratorów i Czytelników prosimy o jednanie „Roli“ nowych prenumeratorów.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy w zapasie. Wszyscy nowi Prenumeratorzy dla całości rocznika mogą je nabywać.